

TYGODNIK
WSCHODNI

Biuro Redakcyjne
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

relacje

LUBLIN, 1-7 VI 1989 R.

NR 20

CENA 70 ZŁ

PRZEDWYBORCZY PEJZAŻ

Wiesław Horabik

ZASADY przeprowadzenia niekonfrontacyjnych wyborów do Sejmu i Senatu ustalono przy „okrągłym stole”.

AKT PIERWSZY: GORĄCZKOWE „KTO JEST KIM”

„Znosi się wszelkie pozawyborcze procedury eliminacji kandydatów. Liczba kandydatów do każdego mandatu poselskiego oraz kandydatów na senatorów jest nieograniczona i zależy tylko od liczby prawidłowo dokonanych zgłoszeń”.

Na początku była cisza i jakby odrobina chaosu. „Cała procedura jest nowa — mówi Mirosław Hermaszewski — i zarówno wybierani, jak i wybierający nie są jeszcze do niej przygotowani. Zobaczmy, jak utrwalą się w społecznej świadomości to nowe polityczne doświadczenie”.

Początek szeptana docierały pierwsze nazwiska potencjalnych posłów i senatorów. Zarówno kandydaci, jak i ich zwolennicy macali ostrożnie stopą ten nierozpoznany jeszcze obszar, który równie dobrze mógł się okazać skalą (prestiż i uznanie), co i grząskim bagienkiem (śmieszność i frustracja). Oglądano się na dwa główne „błoki” — partię i „Solidarność”. Tym razem dyrektorów zabrakło. Pierwsze rozstawiły więc stoliki z listami wspierających — ugrupowania małe, środowiskowe i te, które nie miały nic do stracenia.

„Chciałbym się sprawdzić. Jeszcze nie myślę o programie, o przyszłej działalności — mówi Artur Krzysiak, lekarz z radzyńskiego ZOZ. — Wraz z moim sztabem wyborczym — grupą przyjaciół i ludzi dobrej woli — spróbuję zebrać te trzy tysiące podpisów. Potem zobaczymy”.

Przed „Delikatesami” na Krakowskim Przedmieściu rozciągnął się plakat i hasło: „Głosuj na Dariusza Wójcika”. Długie kolumny niebieskich wozów przemierzały kilkakrotnie miasto. „Czemu prowadzisz tę kampanię?” — pytam młodego człowieka, jakby skulonego pod spojrzaniem mijającego go tłumy. „Bo — odpowiada — mło-

dziez nie ma czasu na głoty przy stolikach”.

Leszek Moczulski, sam kandydat na posła z okręgu Kraków-Krowodrza, powie: „Najwięcej ataków milicyjnych przeciwko naszym działaczom, zbierającym podpisy pod listami, miało miejsce w Lublinie. [...] Jeśli nasi kandydaci — bądź jacykolwiek inni spełniający wymogi ordynacji wyborczej — nie zostaną do wyborów dopuszczeni, stanie się jasne, że mamy do czynienia z jaskrawym pogwałceniem ordynacji”. Obawy okazały się niepotrzebne, bo 11 maja Okręgowa Komisja Wyborcza w Lublinie zarejestrowała Dariusza Wójcika jako kandydata na posła.

Zabiegano o podpisy na stadionach piłkarskich, na kiermaszach, nawet na samochodowej giełdzie. Było to apelowanie jakby z marszu, „na kredyt”, bez programu, bez indywidualnej koncepcji. Przyjaciel agitował za przyjacielem, znajomy za znajomym. Zagrały indywidualne i środowiskowe ambicje. Kielbasy wyborczej było mało. (Tylko w Bydgoszczy potencjalny senator rozdał manierki z grochówką). Zabrakło chyba także fantazji. Po bardziej lub mniej długotrwałych konsultacjach przystąpiły do kampanii główne siły polityczne. Ludzie zapytywali się gorączkowo nawzajem: „Jak w ogóle będzie wyglądać głosowanie?”. Odpowiedzi padły niejednoznaczne.

AKT DRUGI: RÓWNANIE W SZEREGU

„Swoboda wyborów do Sejmu X kadencji będzie ograniczona przez uzgodniony przy „okrągłym stole” podział mandatów [...]. Swoboda wyborów do Senatu nie jest ograniczona żadnym uzgodnieniem”.

Kiedy w sztabach wyborczych podniecenie osiągało już wysoką temperaturę — społeczeństwo jak zwykle biegło za drobnymi sprawami dnia powszedniego. „Panie, co mi tam wybory — powiedział jeden z taksówkarzy (prosił o anonimowość). — Jak człowiek boryka się bez przerwy z totalną niemożnością, to wiara w odmianę wycieka z niego jak woda z rozbitego garnka. Ja tam już, w nic nie wierzę. Głosowałem dotąd dwa razy, ale 4



Fot. Maciej Kaczanowski

czerwca nie będzie tym trzecim”. „Rynek jakby zamarł — mówi pani Janina Celińska, pracownica „Agrometu” — jakby czekał na ową wielką szansę, kiedy to dopiero przy sprawnej kontroli parlamentu rząd ujawni nowe obszary zbawczych inicjatyw. Teraz wszystko odkłada się do „po wyborach”.

Ale głosy malkontenckie nie miały już niegdysiejszej „sily przebicia”. Gorączka wyborcza ogarniała coraz większe grupy ludzi.

Akcja plakatowa „Solidarności” ruszyła 7 maja. Zaczęły się mury i witriny sklepowe. „Kiedy widzę plakaty rozwieszane na drzewach, choćby

w drodze na Nałęczów — mówi Agnieszka Grabowska, maturzystka IX LO w Lublinie — to, abstrahując od ekologicznej strony tego faktu, mam wrażenie nierzeczywistości; jakby wół mnie rozgrywał się teatr”.

Plenum KW PZPR 9 maja stało przed pytaniem o demokrację. Różne środowiska pozgłaszały swoich kandydatów — członków PZPR i zakończyły podpisową kwestę powodzeniem. W okręgu lubelskim zebrało się kandydatów siedmiu, tyłuż w puławskim. W obliczu zwartego frontu strony „solidarnościowej” (1 kandydat na 1 mandat) Komitet Wojewódzki stanął na stanowisku ograniczenia rekomendacji do dwóch osób. „Im

relacje ZE ŚWIATA

● W NIEZWYKLE GORĄCEJ ATMOSFERZE, wywołanej m.in. wystąpieniami B. Jelcyna i A. Sacharowa, przebiegał Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRR. Michaił Gorbaczow (zgodnie z rekomendacją partyjną) wybrany został przewodniczącym Rady Najwyższej, ale — czego nie bywało w radzieckiej praktyce — przy 87 głosach przeciwnych; zaś 11 osób wstrzymało się od głosu.

● PREZYDENT BUSH przebywał we Włoszech. Jest to pierwsza europejska wizyta nowego szefa amerykańskiej administracji, druga ma nastąpić

w lecie, w trakcie której prezydent USA odwiedzi Polskę i Węgry.

● PO OŚWIADCZENIU przywódców chińskich, że reformy będą kontynuowane, w Pekinie opadła fala strajkowa. Niemniej Plac Niebiańskiego Spokoju okupowany jest nadal przez kilkanaście tysięcy osób.

● RADA NAJWYŻSZA ESTONII podjęła decyzję o przejściu republiki na własny rachunek gospodarczy, począwszy od 1 stycznia 1990 r. Podobne postanowienie podjęła także Rada Najwyższa Litwy.

● WĘGIERSKI tygodnik „Reform” poinformował, że Lech Wałęsa przyjął zaproszenie do odwiedzenia Węgier, wystosowane przez jedną z tamtejszych organizacji alternatywnych. Autor publikacji pisze, że Wałęsa przybędzie najprawdopodobniej w czerwcu, aby wziąć udział w zapowiedzianym na 16 bm. uroczystym pogrzebie Imre Nagya oraz jego — również zgładzonych — współpracowników.

● SPECJALNYM SPRAWOZDAWCĄ Narodów Zjednoczonych ds. zbadania sytuacji w zakresie przestrzegania praw człowieka w Rumunii mianowany został szwajcarski prawnik J. Voyame.

● Z ARPINO, rodzinnej miejscowości Cyserona, nadeszła wiadomość, że w odbywającym się tam konkursie znajomości j. łacińskiego (uczestniczyło

520 młodych ludzi z całej Europy) zwyciężył R. Sosnowski, uczeń z Sosnowca. Tym samym stał się pierwszym cudzoziemcem, który przełamał prymat Włochów w tym konkursie.

● WŁADZE Berlina Zachodniego postanowiły utworzyć legalny „polski bazar”.

● RADZIECKI TYGODNIK „Echo Planety” zamieścił polityczny portret Adama Michnika.

● NA WYSTAWIE „VENUS '88” w Wilnie, zorganizowanej przez krakowskie Muzeum Fotografii, zamaskowani mężczyźni, po uśpieniu strażniczek chloroformem, skradli 38 fotografii aktów kobiecych. Złodzieje zażądali za zwrot fotografii 10 tys. rubli. Ponieważ organizatorzy nie dysponowali taką kwotą, litewscy miłośnicy fotografii przystąpili do społecznej zbiórki.

relacje Z KRAJU

● JUŻ W NAJBLIŻSZĄ NIEDZIELĘ, 4 czerwca, w 108 okręgach wybierzemy posłów, z których 156 będzie należeć do PZPR, 87 będzie członkami ZSL, a 24 — SD. Ugrupowania katolickie reprezentowane będą przez 7 członków PAX-u, 6 pochodzić będzie z UChS oraz 4 z PZKS-u. W Sejmie zasiądzie też 161 posłów bezpartyjnych. Pozostali 35 pochodzą z listy krajowej.

Wyberzymy także — tu już bez żadnego „klucza” — 100 senatorów.

● DWÓCH KANDYDATÓW — jeden na posła, drugi na senatora — zamówiło prywatnie w CBOS, placąc za to po ok. 5 mln zł, specjalne sondaże opinii dotyczące ich szans wyborczych. Obaj klienci zastrzegali sobie anonimowość, wiadomo tylko, że pochodzą ze Śląska.

● CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY mieszkańców Cieszyna i okolic manifestowało przeciwko zamierzonej przez Czechosłowację budowie koksowni w Stonawie, tuż przy polskiej granicy. Ignorowane początkowo protesty Polaków

przeciwko grożącemu zanieczyszczeniu znalazły ostatnio posłuch u władz CSRS. Sąsiedzi z południa przyrzekli także wypłacić odszkodowanie za ubiegłoroczne zanieczyszczenie wód Odry.

● W POLSCE działa 47 kościołów i związków wyznaniowych, w tym zarejestrowany ostatnio — Świadkowie Jehowy.

● ROZPOCZĄŁ SIĘ proces beatyfikacyjny prymasa Polski, Stefana kardynała Wyszyńskiego, zmarłego w 1981 r.

● W CZASIE przedostatniego w bieżącej kadencji posiedzenia Sejmu (końcowe zapowiedziane zostało na 29 maja), w ramach interpelacji poselskich, do prezesa NBP skierowane zostało pytanie o los tzw. złotego Funduszu Obrony Narodowej, zgromadzonego ze

społecznych darowizn na krótko przed wybuchem II wojny światowej. Prezes mówił długo, odpowiedzi jednak nie udzielił.

● DYREKTOR NACZELNY FSO, Henryk Olesiak, podał na konferencji prasowej, że X1/79 będzie samochodem trzydrzwiowym, z silnikiem 1000 ccm, rozwijającym prędkość 125 km/h i zużywającym średnio 5,1 l paliwa na 100 km, a ujrzymy go w 1991 r. W rok później nastąpi zakończenie produkcji FSO 1500.

● ZWIĄZKI skupione w „Solidarności”, w porównaniu z OPZZ-owskimi, wykazują więcej umiarkowania w żądaniach płacowych — powiedział na konferencji prasowej minister J. Oleksy.

relacje Z REGIONU

● POMNIK B. BIERUTA zdjęty zostanie z cokołu (i prawdopodobnie wysłany do huty), zaś w tym miejscu znajdzie się herb Lublina; plac nazwany imieniem Bieruta będzie Placem Zgody; natomiast ulica otrzyma miano ul. Lwowskiej — postanowiło Prezydium MRN w Lublinie podczas posiedzenia w dn. 23 maja.

Prawo autorskie zabrania dokonywania przeróbek dzieł sztuki, co miałyby miejsce gdyby — zgodnie z postulatem radnych — miejsce Bieruta

na pozostawionym postumencie zajął lubelski Koziołek.

Dyskusji na ten temat rokujemy ciąg dalszy.

● PROF. ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI wybitny amerykański politolog i mąż stanu, na miejsce swego pierwszego publicznego występu po przyjeździe do Polski wybrał KUL. Temat wykładu: „Przemiany we współczesnym świecie, ze szczególnym uwzględnieniem perspektywy polskiej”. Relację z pobytu prof. Brzezińskiego w Lublinie zamieścimy w najbliższym numerze.

● ORGANIZATORZY NAŁĘCZOWSKIEGO DIVERTIMENTO przyzwyczaili nas do: starannego doboru wykonawców, ambitnego i urozmaiconego programu, atrakcyjnej oprawy koncertów i recitali. Podczas tegorocznej, osiemnastej już edycji (20—24 maja) było — jak wyżej. Gratulacje dla tych co na estradzie i tych zza kulis!

● ODMOWA REJESTRACJI Niezależnego Zrzeszenia Studentów przez Sąd Wojewódzki w Warszawie „oprotestowana” została w całym kraju. Lubelscy studenci demonstrowali m.in. na pl. Litewskim. Robili to na „sposób chiński”, ogłaszając miejsce to Placem Niebiańskiego Spokoju.

● TRADYCYJNIE JUŻ pod koniec roku szkolnego uczniowie lubelskiej

Szkoły Podstawowej nr 35 przygotowali pod kierunkiem p. Lidii Fenert symposium w zakresie fizyki. Już lektura tematów przyprawia o podziw, połączony z lekkim zawrotem głowy. Przykłady: „Jak zburzono Jerycho”, „Zastosowanie ultradźwięków w kardiologii”, „Światło światła nierówne”, „Echo i radiolokacja”.

● W MILICYJNYCH KARTOTEKACH zarejestrowano w ub. roku w Lublinie 248 prostytutek. Tych „najwyższej kategorii” było — ponoć — zaledwie kilka. Co ambitniejsze emigrują bowiem ze względu na brak w mieście dobrych hoteli i przyzwoitych lokali.

Oprac.: Zbigniew Miazga

SONDA „RELACJI” Z PRZEDWYBORCZEJ GIEŁDY

Już w najbliższą niedzielę, 4 czerwca, odbędą się wybory do Sejmu i — po raz pierwszy w powojennej historii naszego kraju — do Senatu. Do kilku osób zwróciliśmy się z prośbą o podzielenie się refleksją związaną z tym wydarzeniem, a także przedstawienie ich wyborczych prognoz. Mówią:

EWA GOŁAWSKA, kierowniczka referatu planowania i finansów Urzędu Gminy w Puławach:

— Kto ma największą szansę? — nie wiem. Chyba ci, którzy odgórnie wpisani zostali na tzw. listę krajową. Myślę, że również kandydaci „Solidarności”, będący ludźmi mającymi swoje zdanie, a przy tym dobrze reklamowani. Osobiście jestem za ZSL-owcami (w tym za doc. Kazimierzem Bisem), którzy dobrze znają polską wieś, biedną i zapomnianą. Powodzenia życzyć też młodym, bo nie bardzo wierzę, że starzy będą mogli wyzwolić się z rutyny, z którą żyli się przez dziesięciolecia. A przegrany jest u mnie ten pan, który swoją kampanię prowadził z helikoptera, ze zbyt dużym szumem i — myślę — nie za swoje pieniądze.

Chciałabym, aby wybory zakończyły się w pierwszym rzucie. Jest to marzenie osoby, która zostanie oddelegowana do ich obsługi. Ale chyba pozostanie to tylko marzeniem.

EDMUND GUGAŁKA, pracownik Zakładów Metalurgicznych „Lublin”:

— Zbliżające się wybory, choć od poprzednich bardziej demokratyczne i bogate w istotne dla Polaków treści, nie wywołują moich specjalnych emocji. W naszym zakładzie absorbowani jesteśmy strajkami i różnego rodzaju reorganizacjami, które niepewnym czynią już jutrzejszy dzień.

W odróżnieniu od programu PZPR (kolejnego zresztą), a także branżowego związku zawodowego, większą popularnością cieszy się to, co ma do zaoferowania, trzymająca się bardziej ziemi, strona opozycyjna. I dlatego też chyba jej ludzie mają większe szanse w wyborach.

MACIEJ MATUSZEWSKI, abiturient II Liceum Ogólnokształcącego im. J. Zamoyskiego w Lublinie: — Chciałbym, aby wyniki wyborów pokrywały się z moim zamiarem głosowania. Otóż jedynymi nie określonymi przeze mnie będą nazwiska osób rekomendowanych przez Komitet Obywatelski „Solidarności” oraz Dariusza Wójcika.

Ciebie czekam na wybory w pełni demokra-

tyczne, do których jestem przekonany, dojdzie jeszcze przed upływem zapowiedzianej na cztery lata kadencji Sejmu i Senatu.

ADAM NATANEK, dyrektor Filharmonii Lubelskiej:

— Obawiam się, że nie jestem najlepszym adresem pytań zawartych w sondzie „Relacji”. Bo wiem wysiadłem już z pociągu wiozącego ludzi, którzy pasjonują się (czynnie lub choćby biernie) polityką. Znalazłem bardziej interesujące mnie sprawy, jak choćby ostatnio, poznawanie języka hiszpańskiego. A przy tym — i to jest dla mnie sprawa pierwsza — porządnie chcę pełnić swoją powinność artysty i kierownika zespołu ludzi.

Oczywiście, nie oznacza to, że nie pójde głosować. Bo też obecny czas, w odróżnieniu choćby od lat niedawnych, nie jest tym, w którym zgłaszać by można separatum wobec tego, co dzieje się wokół nas.

Jakie prognozy wyborcze? Ze względów, o których wyżej, nie śledzę wyborczej giełdy. Powiem więc tylko o tym, co mi się marzy. Obecnie jest mi zarówno nadmierna fascynacja, jak i negacja. Dlatego pragnąłbym, aby w Zgromadzeniu Narodowym zasiadli ludzie środka, niezależnie od posiadanych legitymacji, wykonujący swoją misję z pasją, a przy tym w sposób dalece profesjonalny.

DOC. DR HAB. ZIEMOWIT J. PIETRAS:

— Choć do wyborów pozostało już tylko parę dni, jeszcze wiele zdarzyć się może, łącznie z zamieszkami, co nawet zdecydowanie mogłoby wpłynąć na zmianę opcji wyborców. Tę próbę oceny szans poszczególnych grup podejmuję przy założeniu, że utrzymane zostanie status quo z końca drugiej dekady maja.

Otóż przeglądając listy kandydatów do Sejmu i Senatu, stosunkowo łatwo można dostrzec, iż mamy do czynienia z trzema grupami pretendentów i ich mocodawców. W pierwszym przypadku są to reprezentanci koalicji, ze zdecydowaną przewagą osób rekomendowanych przez PZPR. Drugą grupę, popieraną w istocie na zasadach partyjnych (umieszczenie na liście, program), stanowią rekomendowani przez „Solidarność”. W trzeciej zaś znajdują się bezpartyjni i wszelkiego rodzaju „luzacy”. Ci ostatni — moim zdaniem — mają szanse najmniejsze.

O ile w tych dniach nie wydarzy się w kraju nic nadzwyczajnego (a więc zamieszki, które mogą wystraszyć niezdecydowanych wyborców, czy „masę” wyciągnięte z rękawa), koalicja uzyska widoczną przewagę w Sejmie. Natomiast 70—80 proc. miejsc w Senacie przypadłoby opozycji spod znaku „Solidarności”. Zaś w Zgromadzeniu Narodowym (Sejm i Senat) koalicja, opozycja i „luzacy” reprezentowani będą mniej więcej proporcjonalnie. Byłoby to układ ogromnie interesujący, ale też zagadkowy, jeśli chodzi o funkcjonowanie obu izb, począwszy od sprawy wyboru prezydenta.

Podkreślam raz jeszcze, iż wielę zależy od rozwoju wypadków w najbliższych dniach, ale przede wszystkim od wyników powtórnego głosowania, do czego dojdzie chyba w dość powszechnej skali.

WALDEMAR OLIVIER JEZIERSKI, polonus z Paryża:

— W ciągu trzytygodniowego pobytu w Polsce, w tym w rodzinnym Lublinie, oczywiście nie udało mi się uniknąć rozmów o polityce, również o zbliżających się u was wyborach. Jakże wnioski?

Sądę, że kampania trwa zbyt krótko, przez co zbyt mało czasu pozostaje na zaprezentowanie stron, ich kandydatów oraz programów. Miałem okazję spotkać się z wyborcami (m.in. studentami z Uniwersytetu Warszawskiego) oraz osobami ubiegającymi się o fotel posła czy senatora. Dostrzegłem, że właściwie tylko „Solidarność” ma swój — ogólnikowy zresztą — program i że ona tylko prowadzi kampanię wyborczą w zachodnim stylu: głośną, agresywną, ze wskazaniem swoich ludzi. Innych grup czy partii nie widać. Walka wyborcza — mówię to, porównując do doświadczeń francuskich — jest grzeczna, a właściwie nijaka. No, bo najwyżej ktoś komuś zerwie albo zamaluje afisz. Nie ma natomiast walki „na programy”. Bo też — takie odnoszę wrażenie — nie ma i tych programów. Ze zdziwieniem słuchałem niektórych kandydatów do Zgromadzenia Narodowego, którzy, jakby ubiegając się o miejsce w ratuszu, obiecali wybudować wodociąg, wybrukować ulicę czy wybudować domy.

Z satysfakcją przyjąłem wiadomość, że i w Sejmie, i w Senacie zasiadać będzie opozycja. Doświadczenia parlamentarne ucza, że z takiego faktu płyną same korzyści. Francuzi pozytywnie wyrażają się o zmianach następujących w Polsce, szczególnie w odniesieniu do demokratyzacji życia. Przygotowują — po latach niemal blokady — interesujące oferty. Ale, rozumiem, że jest to temat na oddzielną okazję.

Notował: Zbigniew Miazga

KALEJDOSKOP KANDYDATÓW

W POWODZI informacji prasowych o kandydatach do Sejmu i Senatu o oryginalność nie jest łatwo. „Suchy” spis nazwisk znaleźliście Państwo w książce telefonicznej i na urzędowych obwieszczeniach. Prezentacja charakterów zapewniłaby zapewne kilka tomów. Wybraliśmy kalejdoskop. Przyjęcie tej formy połączyło nas w stronę różnorodności. Trudno byłoby na podstawie tej mozaiki dokonywać jakichkolwiek wyborów. Nie było wszakże naszym zamiarem uzasadnianie, przekonywanie bądź komentowanie czegośkolwiek.

Spośród około stu trzydziestu kandydatów rozmawialiśmy osobiście z większością z nich. (Czyż nie staliśmy się w ten sposób najlepiej przygotowanymi wyborcami w Regionie?). W pozostałych przypadkach pomogły nam ulotki, plakaty, broszury. Jeśli zabrakłoby Państwu indywidualnego spojrzenia prezentowanych osób, nie oznacza to braku ich własnych koncepcji. Główne siły społeczno-polityczne preferują jednak „blokowy” charakter kampanii. Z drugiej zaś strony powszechność narodowych bolączek wiedzie nieuchronnie do powtarzalności programów. W takich przypadkach, na ile było to możliwe, staraliśmy się sięgać po inne środki wyrazu. Mamy nadzieję, że przyjęta konwencja chociaż w małym stopniu oddaje przedwyborczą gorączkę, nieznaną w naszym kraju od wielu, wielu lat.

★

W REGIONIE BIALSKO- PODLASKIM ZGŁOSZONO DZIESIĘCIU KANDYDATÓW DO SENATU.

„Społeczeństwo nie zaufa «Solidarności», jeżeli będzie robiła tylko zabiegi kosmetyczne” — powiedział **Andrzej Czapski** (l. 39), rekomendowany przez KO „Solidarności”. Jest za likwidacją nomenklatury.

Koronę orlu, narodowi Rzeczypospolita Polska chce przywrócić **Henryk Czarkowski** (l. 65), członek Stronnictwa Demokratycznego.

Wybudowanie Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Białej Podlaskiej — głosi ulotka wyborcza — jest w dużym stopniu zasługą **Stanisława Czopa** (l. 55), zgłoszonego przez WK ZSL.

Józef Dzięcina (l. 36), nauczyciel, rolnik, członek PKKS — opowiada się m.in. za ustawą o ochronie życia pozętego.

Bazując na swej długoletniej działalności w środowisku wiejskim, **Andrzej Jaszczuk** (l. 52), ZSL, reklamuje się hasłem: „Wyborco, już przyszła pora mieć Jaszczuka na senatora”.

Zlikwidowanie trzech zmian w szkole polskiej postuluje **Tomasz Klimanowski** (l. 36), prezes Wojewódzkiego Oddziału Unii Chrześcijańsko-Społecznej, przeciwnik idei chrystianizacji i ateizacji wychowania.

Artur Krzysiak (l. 39), członek „Solidarności”, prowadzi kampanię poza Komitetem Obywatelskim, nie formułuje konkretnego programu. Uważa senat za ciało wyłącznie opiniotwórcze.

Nawiązując do Margaret Thatcher, **Anna Nowak-Gocławska** (l. 49, PZPR) forsuje ideę kobiety-polityka. „Nie tylko Anglicy zaryzykowali — twierdzi — oddając kobiecie ster władzy”.

„Nie jest debiutantem” — zapisano na plakacie wyborczym **Wiesława Obszańskiego** (l. 53, PZPR). Odwiedził 85 proc. wsi w województwie. Nie ogłasza żadnego nowego programu, nie w programach bowiem dostrzega źródła sukcesów.

„Niedługo przestaniemy mówić o «wschodniej ścianie placzu», bo nie będzie miał kto płakać” — słowa te wypowiedział **Mieczysław Trochimiuk** (l. 53), dla którego ponad 21 tys. ha „ziemi syczyj” to widmo klęski polskiego rolnictwa. (Plakaty wyborcze ukazują M. Trochimiuka obok Lecha Wałęsy).

LICZBA KANDYDATÓW NA SENATORÓW W WOJ. BIALSKOPODLASKIM PRZEWYŻSZA LICZBĘ PO- TENCJALNYCH POSŁÓW. DO SEJMU KANDYDUJE SIEDZEM OSÓB.

O mandat nr 28 (PZPR) rywalizuje nauczyciel, prawnik i ekonomista: **Bojowy Ambitny Realista Tolerancyjny Otwarty Sprawiedliwy** — jak reklamuje się **Jan Bartos** (l. 56); **Edward Laskowski** (l. 52) — zwolennik systemowego uregulowania zasad pracy i płacy osób niepełnosprawnych; **Seweryn Ostapiuk** (l. 44), przeciwnik ludzi niekompetentnych, uparcie trzymających się wygodnych foteli.

Zjednoczone Stronnictwo Ludowe zgłosiło dwie kandydatury.

Tadeusz Józefczak (l. 51) jest za: pełną normalizacją stosunków państwa z Kościołem rzymskokatolickim w Polsce, a przeciw obciążaniu chłopów za braki żywnościowe i wysokie ceny. **Franciszek Stefaniuk** (l. 45) za: ciągłym w każdym gospodarstwie, a przeciw spekulacyjnym cenom „nowoczesności” w rolnictwie.

Ewenementem w skali kraju jest obecność zaledwie dwóch pretendentów do mandatu bezpartyjnego.

Jacek Szymanderski (l. 44) z Warszawy (rzecznik prasowy „Solidarności” Rolników Indywidualnych) konkuruje ze **Stanisławem Marcuzkiem** (l. 57), wicewojewodą białkopodlaskim do spraw rolnictwa.

★ Gros kandydatów do Sejmu i Senatu z województwa białkopodlaskiego, to rolnicy bądź ludzie związani z rolnictwem. Na przekór tej prawdzie tylko trzy kandydujące osoby mieszkają na wsi.

★ Ośmioro spośród siedemnastu zgłoszonych pochodzi z Białej Podlaskiej.

★ Licząca 60 tys. wyborców południowa część województwa (region Radzyna Podlaskiego) posiada jednego reprezentanta.

★ Do rywalizacji przystąpiła tylko jedna kobieta.

★

Z WOJEWÓDZTWA CHEŁMSKIEGO DO DWÓCH KRZESEŁ SENATORSKICH KANDYDUJE SIEDZEM OSÓB. AKTOR, ROLNIK, DZIENNI- KARZ, LEKARZ, EKONOMI- STA I DWÓCH NAUCZYCIE- LI.

Tomasz Adamczuk (l. 36), reprezentant interesów wsi, optuje za zwyczajnością: zwyczajnym układem cen, zwyczajnym systemem finansowym i pięniądzem, który z dnia na dzień nie traci na wartości.

„Spolegliwej i niemrawej władzy, ciągle wiszącej u klamki centralnych decydentów”, zamierza przeciwstawić się **Witold Graboś** (l. 37), dziennikarz „Tygodnika Chełmskiego”.

Wpójone przez matkę i dziadka surowe zasady etyczne-moralne, głęboka wiara w Boga, miłość do ojczyzny i drugiego człowieka — to zespół wartości, które ukształtowały światopogląd **Zofii Olejniczak-Szajewskiej** (l. 41).

Jacek Solarz (l. 35) swój humanistyczny stosunek do świata realizuje w Ogólnopolskiej Fundacji „Spełnienie Marzeń” (pomoc chorym dzieciom) jako jej przewodniczący.

Kandyduje z Chełma, „by zatrzeć wspomnienie o Pekawuencie”, **Andrzej Szczykowski** (l. 66), aktor z Warszawy, członek KO „Solidarności”.

Jego związkowym partnerem jest **Eugeniusz Wilkowskij** (l. 35), historyk

i filozof, nauczyciel i rolnik, miłośnik Lwowa.

„Będę wspierała wszystkie racjonalne inicjatywy i pomysły, które prowadzić będą do traktowania zdrowia jako kategorii ekonomicznej” — twierdzi **Elżbieta Zajac** (l. 50).

O TRZY MANDATY PO- SELSKIE UBIEGA SIĘ DWU- NASTU KANDYDATÓW.

KW PZPR w Chełmie zarekomendował **Tadeusza Badacha** (l. 42) i **Artura Sitnika** (l. 30), którzy m.in. obiegują wyborcom walkę o czystość środowiska naturalnego człowieka.

Przeciwnikami biurokracji określają się **Marian Rycak** (l. 49) i **Stefan Wojtaszuk** (l. 34), członkowie PZPR bez rekomendacji.

Czesław Cwik (l. 47), **Jan Flis** (l. 46), **Zygmunt Karczewski** (l. 37) i **Janusz Tarniewski** (l. 45) kandydują z mandatu ZSL. Sprawy wsi — co naturalne — dominują w ich programach wyborczych: regionalizacja polityki rolnej, urynkwowanie rolnictwa, czyli radykalne przemiany, by chłop nie musiał strajkować.

Prowadzący indywidualną kampanię **Edward Flis** (l. 58), mandat bezpartyjny, sympatyk „Solidarności”, pragnie „unormalnienia” wiejskiej szkoły.

Edward Holub (l. 37) czerpie wzory ze Społecznej Nauki Kościoła w celu odnowienia moralnego narodu. Uważa, że „demokracja to ustrój, który nie daje premii ani nie gwarantuje władzy tym, eo o nią walczyli”.

„Taka jesień życia mojego pokolenia, jaka wiosna naszych dzieci” — to credo wyborcze **Urszuli Hus** (l. 47).

Eugeniusz Ujas (l. 53) kandydat Komitetu Obywatelskiego „Solidarności”, chce w Sejmie walczyć o zmniejszenie represyjności w postępowaniu karnym, m.in. o niestosowanie izolacji więziennej, gdy nie jest to absolutnie konieczne.

★ Chełmskie reprezentuje w większości inteligencja (16 kandydujących). Pozostałe trzy osoby to rolnicy.

★ Brak przedstawicieli klasy robotniczej.

★ Kandydują trzy kobiety.

★ Liczący 175 tys. wyborców elektorat chełmski wybierze dwóch senatorów i dwóch posłów.

★

WOJEWÓDZTWO LUBEL- SKIE POSIADA CZTERY O- KRĘGI WYBORCZE I SKU- PIA 700 TYS. WYBORCÓW. WYŁONIA ONI DWÓCH SE- NATORÓW SPOŚRÓD 11 KANDYDATÓW.

Komitet Obywatelski „Solidarności” początkowo zakwestionował sposób zbierania podpisów przez **Stanisława Rostworowskiego** (l. 54). Wojewódzka Komisja Wyborcza oddaliła protest. Jako przewodniczący Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych Przez III Rzeszę Niemiecką opowiada się **St. Rostworowski** za wynagrodzeniem narodowi krzywd doznanych na Wschodzie i Zachodzie.

Łosy Adama Stanowskiego (l. 62), popieranego przez KO „Solidarności”, wystawiają mu swoistą rekomendację. **Zołnierz AK**, uczestnik Powstania Warszawskiego, więziony w czasach stalinowskich.

Protest przeciwko sfałszowaniu wyników wyborów do Rady Narodowej w Fajslawicach w 1984 roku uczynił głośnym nazwisko **Henryka Stępnika** (l. 38). „Gazeta Wyborcza” prezentuje go jako człowieka, który Fajslawice zdobył dla „Solidarności”.

Kazimierz Bis (l. 58), zgłoszony przez WK ZSL, oprócz spraw gospodarczych wsi, w sferze wychowania opowiada

się za etyką i moralnością chrześcijańską.

W myśl dewizy marszałka J. Piłsudskiego: „Samy sobą rządzić chcemy”, **Jan Czyżewski** (l. 63) twierdzi, że w każdym narodzie ceniona jest tylko samodzielność.

„Uważam, że o kulturze narodu świadczy miejsce kobiet w społeczeństwie” — głosi profesor **Grzegorz L. Seidler** (l. 76). Dlatego też jednym z jego głównych postulatów wyborczych jest rzeczywiste równouprawnienie kobiet.

Mirosław Hermaszewski (l. 47) — wraz z prof. Seidlerem rekomendowany przez KW PZPR — jest zwolennikiem restrukturyzacji i humanizacji wojska, tak, by zasadnicza służba wojskowa nie była udręką.

Kampania wyborcza zmusiła **Janusza Malinowskiego** (l. 39, PZPR) do zdekonspirowania swojego felietonowego wcielenia Jana Matacza. Uważa on, że w sprawie ustawy o przerwaniu ciąży powinny wypowiedzieć się same kobiety, a nie zaledwie czterystu sześćdziesięciu posłów, w większości mężczyzn, z których połowy co najmniej problem w ogóle nie dotyczy.

Jerzy Janiszewski (l. 45, SD) optuje za policją, która będzie bronić prawa i obywateli. Wierzy ludziom noszącym dzinsy.

Racjonalna produkcja żywności to podstawa zdrowego społeczeństwa — twierdzi **Edmund Prost** (l. 68).

Zafascynowany sukcesem gospodarczym **Włoch, Henryk Baran** (l. 60) widzi receptę na pomyślność materialną Polaków w rozwoju małych zakładów produkcyjnych. (Nie uzyskał rekomendacji WK ZSL).

POSŁÓW LUBELSZCZY- ZNY WYBIERAĆ BĘDZIEMY W LUBLINIE, PUŁAWACH, KRAŚNIKU I LUBARTOWIE.

Czterema mandatami dysponuje okręg nr 55 w Lublinie.

O mandat PZPR rywalizuje pięć osób.

Szukające dane o stanie zdrowotnym społeczeństwa polskiego ukierunkowują kampanię wyborczą **Alberta Czajki** (l. 35) — czy Szwedzi muszą przyjeżdżać do Polski, aby obejrzeć ciężkie przypadki gruźlicy?

Izabella Sierakowska (l. 42), rekomendowana przez KW PZPR utrzymuje, że widzi szansę naprawienia polskiej oświaty poprzez naprawę całej gospodarki.

Jednym z głównych haseł wyborczych **Władysława Głowczyka** (l. 52) jest usprawnienie komunikacji i transportu. Jego program wsparła rekomendacją KW PZPR.

„Przystojny i elegancki, przedsiębiorczy i przebojowy, pracowity i elokwentny” — tak przedstawia się przewodniczący ZW ZSMP w Lublinie, **Witold Chemperek** (l. 30).

Ryszard Bączek (l. 49) uważa, że gospodarka polska jest jak krowa wypijająca trzy czwarte z każdego litra wyprodukowanego przez siebie mleka i rozglądająca się jeszcze za dokładką.

Dwóch historyków, inżynier rolnictwa oraz **Józef Ziemia** (l. 64), socjolog, i **Teresa Liszcz** (l. 43), prawnik, ubiegają się o mandat ZSL.

Panowie **Jan Jachymek** (l. 49), **Ignacy Jędrzyk** (l. 43) i **Zdzisław Podkański** (l. 39), zgłoszeni przez WK ZSL, chcą wspierać zreformowany program wypracowany na ośmiu zjazdach Stronnictwa.

Józef Ziemia (bez rekomendacji) opowiada się za bardziej radykalnym kursem swojej partii.

Teresa Liszcz (także bez rekomendacji) cieszy się zaufaniem „Solidarności”.

Stronnictwo Demokratyczne wystawiło do wyborów trzech kandydatów.

Za społeczną kontrolą nad organami SB i MO optuje relegowany w 1968 z Politechniki Wrocławskiej **Kazimierz Czerwiński** (l. 42).

Józef Juszczyński (l. 48), któremu zabroniono nauczania w „socjalistycznej szkole średniej”, sugeruje odpolitycznienie gospodarki, nauki, oświaty i kultury.

Przyspieszenie budowy szpitala dla dzieci w Lublinie stanowi szczególną troskę **Kazimierza Pietronia** (l. 65).

Jako jedyne miasto w Regionie Lublin dysponuje mandatem PAX.

„Chrześcijańska wizja człowieka, rodziny i narodu”, „Uspołecznienie szkoły i systemu edukacji”, „Równość szans i startu życiowego młodego pokolenia”. Pod tymi hasłami podpisują

Dokończenie na str. 14

11 lutego, sobota. Stadion „Startu”. Pan Janek kupuje od Rosjan piłkę spalinową „Ural” za 150 tysięcy i w ciągu kilkunastu minut sprzedaje ją rolnikowi z Jablonnej za 225 tysięcy.

Dzisiaj chyba chłopców z PG nie ma, bo specje od sofiksów i polskiego towaru bujają się na pełnym luzie, bez wpadek. Wkurzyło to „Konusa”, znanego handlowemu ludkowi ormowca, który sam też kombinuje i handluje namiętnie. „Konus” wtargnął do spi-

sięcy sztuk. Podobnie zarzucił cały rynek kasetami i powalił konkurentów na kolana cenami o 700 do 1000 złotych niższymi. Teraz wymienia dla jakiegoś dzianego gościa złotówkę na zielone. Skupuje po 3200, a odsprzedaje owemu bogatemu mocodawcy po 3400. Ma zamówienie na dziesięć tysięcy dolarów. Zarobi dwa miliony. Przez 2—3 tygodnie.

Byli „znajomi” z MO.
19 lutego, niedziela. Na „Sygnale” potwierdzenie wczorajszego spostrzeże-

Pośrednik przez pół godziny zarobił 120 000 złotych.

3 marca, piątek. Na targu nie opodał Roskiej. Znowu więcej Rosjan. Oferują głównie złoto. Jest tego masa. Ceny siadły do połowy sklepowych. Wyroby chodzą często poniżej ceny złomu. Widzę na własne oczy, jak Ukraińiec wrzuca na wagę (zwykłą szalkową, tę od jabłek) całą garść złota, łącznie, wedle wskazań wagi, 25 dekagramów — ćwierć kilo! — a Polak-nabywca płaci za wszystko równych pięć

niej, bo coraz ciśnie na giełdzie. Konkurencja.

Caly dzień pada zimny deszcz. Ludzie ze zdumiewającą wytrzymałością sterczą i brodzą w błocie.

13 marca, poniedziałek. Punktualnie o naznaczonej porze melduję się w redakcji. Obaj szefowie wstają mi na grzbiet z góry i z niebywałym impetem. Usiłuję im rzec całą wytlumaczyć: że nie moja wina, pewnie ryzyko musi być wpisane do takiej gry wcieleniowej, jaką prowadzę. Przebieieranka to nie żarty, to nie oglądanie i opisywanie świata zza biurka czy po grzecznej rozmowie z uczonym. Nawet nie konwencjonalny reportaż.

Przedtem, gdy bujałem się jako przebieierany handlarz, cinkciarz pod bankiem czy lapownik w cukrowni — w ogóle nikomu to nie wadziło, przełożeni w obu redakcjach (najpierw „Standard Ludu” a potem „Tygodnik Kulturowy”) cieszyli się z mięsistych tekstów, ba, dawali jakiegoś pożałujki Boże, nagrody. No, ale przedtem nie wpadałem. Przedtem nie musieli stykać się z policjantem. Taki despekt.

Gozko. Zakończyć tę przebieierankę i — nigdy więcej. Rozmowa z szefami była dobrą, pouczającą lekcją.

1 kwietnia, sobota. Czekalem na jakikolwiek znak z MO lub prokuratury, aby podać decyzję organów — jakikolwiek by ona była — jako pointę niniejszego testu. Na próżno. Urzędy milczą. Pewnie panowie kontynuują śledztwo przeciwko mnie. Niech im dobry Bóg dopomóż.

Poszedłem ostatni raz jako przebieieraniec na stadion „Startu”. Spotkałem Zenka D. Chłopa od dawna jeździ w parze z Romanem S. do NRD. Ale niedawno sromotnie wpadli. Polscy celnicy na granicy wyluskali z bagażnika ich wozu równy tysiąc uszczelki pod głowicę do wartburga. Pech. Szwarcowali uszczelki zawsze. Spychali je Niemcom hurtem po 35 marek. Czyli przepadło 35.000 marek NRD (co równowarto jest 3000 dolarów). Nie dość, że te uszczelki zostały im skonfiskowane, to jeszcze zagrażała chłopakom sprawa karna z grzywną minimum dwa i pół miliona.

Łebscy panowie nie odpuścili, znaleźli jakąś szczybę, ich rodaka z Lubelszczyzny, i za głupie dwieście patoli ukręcili sprawę łeb. Rzecz została elegancko rozmydlona, chłoptysie odzyskali wszystkie swoje uszczelki, z powodzeniem je opchnęli i wyszli na swoje. Do przodu. Po przeszło tysiąc dolarów na modnie zarośniętą buzię. Oczywiście, na czysto. W sumie za cztery dni podróży. Plus nieprzewidziana przerwa na opijanie po wpadce z uszczelkami.

A propos uszczelki. W polskich sklepach, głównie prywatnych, kosztują po 1200 złotych sztuka. Zenio nabywa hurtem wprost z warsztatu wytwórcy — po sześćset. Bo poza ewidencją, bez żadnych obciążeń i podatków. Oplaca się obu stronom. Zenio wie, co robi. Nie darmo był liderem młodzieżowej organizacji politycznej na uczelni, a potem pracował latami w wysokim szczeblu komitecie jednego ze stronnictw sojusznicznych.

U nas grunt to wiedzieć, jak się ustawić i w porę rozumieć, co naprawdę w trawie piszczy.

Postscriptum z 12 kwietnia AD 1989. Winien jestem Czytelnikom i Redakcji przeprosiny za użyty w tytule niniejszej relacji czas przeszły, de facto bowiem i de iure ja nie byłem, lecz jestem spekulantem. Odium przestępcy ciąży wszak na mnie nadal. Sprawę pewnikiem rozstrzygnie dopiero wymiar sprawiedliwości i wówczas się okaże, czy jestem obywatelem prawnym, czy skazany. Być może tylko na grzywnę kilkuset tysięcy złotych, być może na jakąś inną jeszcze przewidzianą przez paragraf karę. Każde rozstrzygnięcie Sprawiedliwości przyjmę z godnością i nie omieszkać o nim na tym miejscu poinformować.

BYŁEM SPEKULANTEM

Stanisław Harasimiuk

kerki i stamtąd zadzwonił do I Komisarjatu na Okopowej z informacją, że kupa narodu obnosi sofiksy. Zawistny „Konus” tą drogą chciał zniszczyć konkurencję...

Kończy się kawior i elektroprzet rzadziecki. Skutek nowych przepisów celnych, wprowadzających 100-procentowe opłaty po stronie ZSRR. Stąd dla odmiany (a bardziej rekompensaty) duża podaż łatwego do przemycenia złota i pieniędzy, „czerwońców”. Spłaszczło to ceny. Na giełdzie dziś — gram średnio tańszy minimum o 10 tysięcy niż w sklepie.

Niestety, jutro nie będę na stadionie, gdyż tylko w niedzielę mam szansę zastać pana Józefa Słisza w domu. Ten nowy przywódca „Solidarności” rolniczej jest nieuchwytny także z powodu uczestnictwa w obradach „okrągłego stołu”, a ja muszę zrobić o nim tekst dla „TK”. Trzeba więc wyjechać jeszcze dziś.

13 lutego, poniedziałek. Punktualnie o 8.30 jestem w komisariacie. Prowadzący śledztwo cywil (był na stadionie 4 lutego) cytuję art. 221 § 3 kk i odczytuje też postanowienie prokuratora o wszczęciu przeciwko mnie dochodzenia oraz o zagrożeniu karą do lat... bodajże pięciu. Ładnie.

Następuje przesłuchanie. Mówię wszystko jak na świętej spowiedzi. Podpisuję bardzo obszerny i szczegółowy protokół. Kątem oka dostrzegam, że donosi na mnie do MO pisali inspektorzy z Izby Skarbowej, którzy dobrze mnie znają osobiście i z publikacji. Pisałem wszak o ich działalności wielokrotnie, dziesiątki razy byłem w ich biurach. Musieli wiedzieć, że robię „wcieleniówkę”. Ale wyobrażam sobie, jaką mieli radochę, smarując swoje notatki służbowe na mój temat. Biedni chłopcy.

14 lutego, wtorek. Dzwonił szef. Porytowany. MO zadziała już dostarczyć do redakcji „ankietę podejrzanego”, przeciwko której toczy się dochodzenie. Prowadzą więc postępowanie z całą powagą, w pełnym majestacie prawa. Nic dziwnego: mają spekulanta niby motyla nadzianego na szpilkę. No i dodatkowego smaku sprawie przydaje zawód przyskrzyniony.

18 lutego, sobota. „Start”. Bardzo dużo sprzedających. Mniej kupujących.

Poznaję pana Bolka. Facet z pozoru byle jaki, wręcz lamagowaty, a tuz. Uznaje tylko duży obrót. Jak siedział w „Donaldach”, to zwolił całe stopy za bony i opychał hurtem, po czterdziści złotych na sztuce taniej niż w detalu. Obracał dziesiątkami, setkami ty-

nia o przyklapnięciu giełdy. Ludzie po prostu mają coraz mniej pieniędzy na zbytki. Poza tym już po, a jeszcze przed wypłatą. No i fatalna pogoda. Przemarzęłem i przemokłem dokumentnie.

Bez sukcesów. Rekwizyty mam ciągle te same.

23 lutego, czwartek. Targ przy Ruskiej. Mało Rosjan, tylko dwie rodziny. Za to rzadki tu gość — wycieczka z Rumunii. Handlują Rumuni wyśmienicie, mimo bariery językowej.

Kupuję litrową butelkę brandy „Ovidiu” za cztery tysiące. Taniej niż nasza czyściech.

Scisk na targu niemilosierny. Zupełny bazar jak na głębokim Wschodzie.

25 lutego, sobota. „Start”. Bardzo dużo sprzedających, kupujący znowu, kolejny raz zawiedli. Czyżby kryzys wkraczał na giełdę?

Nowe zjawisko. Z Zamościa, Chełma i Włodawy na lubelskie giełdy firmowe autokary dowiozły specjalne wycieczki zakładowe.

26 lutego, niedziela. „Sygnal”. Ruch dziś spory. Ale wyraźnie mniej Rosjan. Są pojedynczy Czesi, Węgrzy, Rumuni, Niemcy z DDR.

Pan Jasio wystawia cały zestaw maszyn. Dziś zabrakło mu sary (wszystką gotówkę wydał na strugałki, obrabiarki etc.), więc wziął ode mnie udział i zakupił piłkę spalinową made in USSR. Zapłacił 190 tysięcy. Sprzedał za dwieście czterdzieści. Zysk — do podziału między nas — większy od mojej gołej pensji. I zupełnie bezpieczny. Za towar z importu nic nie grozi.

Masa ludzi — już nie sami cinkciarze — na własną rękę zajmują się skupem i sprzedażą walut. Dolar siada. Już można dostać za 3000 złotych. (Sprawdza się moja prognoza).

Dziarscy emeryci specjalizują się w kawiorze. Czarny astrachański zbierają od Rosjan po 6—10 tysięcy. Sprzedają po piętnaście. Za 95-gramową puszczykę. Inni robią w fotosprzęcie, jeszcze inni w złocie. Wątpię, czy jest do opamiętania ten handlowy żywioł. I czy jest racjonalna potrzeba zapanowania.

Facet nie opodał nabył od Białorusinów z Grodna kuchenkę mikrofalową za 280 tysięcy. Po dwu kwadransach opchnął ją świetnie ubranym młodym ludziom za sto czterdzieści dolarów. Oni, nabywcy, wrócili niedawno z RFN. Pobierają się, mają dom i auto, kuchenka się przyda zwłaszcza na przyszłość, gdy przyjdzie dziecko. Nie ma, jak w mikrofalówce podgrzać butelkę dla niemowlaka. Trzask-błysek, młynka i po robocie. Na własne oczy widzieli w Bundesrepublik.

milionów. Liczyli te stopy papieru z pół godziny.

Inny jegomość, o wyglądzie zasuszonego Turka, za psi grosz skupuje brylanty, które wywozi do córki zamieszkującej w RFN. Widzę, jak kołczyki z 0,75-karatowymi bluweissami idą za milion (właściciel chciał dwa miliony, zapłacił wg metki 3250 rubli, ale hurtownik był nie do skruszenia).

Wpada na targ pan Janek. Sprawdza, czy nie ma przypadkiem piły albo innego sprzętu mechanicznego. Chętnie był kupił. Wziął właśnie pensję. Ile? Drobiaz, 165 tysięcy.

9 marca, piątek. Telefoniczna awantura; zastępca szefa nigdy tak ostro do mnie nie mówił, w ogóle przez 14 lat współpracy z nim wszystko było o'key. Teraz rozprawiam jakby z zupełnie innym człowiekiem, który sobie na mnie pokrzykuje. Bo — o, zgroz! — do redakcji w mojej sprawie przybył policjant. Przełożeni byli oto zmuszeni otrzeć się odrobinkę o prawdziwe życie. Składać jakieś wyjaśnienia. Wielka to dla nich konfuzja, jak świat światem szacownych redakcyjnych pokoi nie nacierali nigdy stółkowi. Są zdegowani wywnętrz. Wzywają mnie na dywanik na poniedziałek.

11 marca, sobota. Spotkany na „Startu” znajomy bukinista twierdzi, że wyciąga drńówkę 30—40 tysięcy. Na stadionach w weekendy i na targu, a więc na okrągło, czyli tygodniowo minimum ćwierć miliona. Dlatego rzucił prywatne rzemiosło (budowlane), bo tam tyle nie zarobił nigdy nawet przez miesiąc. No i musiał pracować, płacić podatki, użerać się z nienasyconymi urzędnikami. Tu wystarczy pogłównować i zrobić „wejście” do księgarń, żeby zbierać spod lady po kilkanaście ciekawych tytułów, oczywiście z odsypem dla księgarza. Każdy chce żyć.

Poza budowlanec-bukinistą spotykam byłych mechaników samochodowych, drukarzy, nawet złotników, którzy napluli na pracę i przeszli na handelek.

Dolar osiągalny — bez trudu — za równe trzy tysiące; bon za dwa osiemset.

Pan Jasio przyjechał dziś na dużej bani. Nabył jeszcze od Rosjan pół litra „stolicznej” i przystąpił w gronie znajomyków do jej osuszania. Wsiadł do dużego fiata i odjechał. Nie boi się MO ani na placu, ani za kółkiem.

12 marca, niedziela. Na stadionie „Sygnal” dolar jeszcze tańszy: pełna podaż przy cenie 2900 zł. Złoto poniżej ceny złomu — dostępne po 18 tysięcy za gram. Giełda nieco z tych powodów nerwowa. Jednakowo podekscytowani drobni ciulacze, jak i rekiny. Tym ostatnim nie grożą żadne kataklizmy (uwijają się, żeby tylko więcej nalożyć), ale drobniaka, ten giełdowy tłum, odcierpi. Zarobi teraz tak czasem parę tysięcy, czasem parę setek. Coraz trud-

LISTY - POLEMIKI

„LUBELSKA BIAŁA PLAMA”

W nr. 14. „Relacji” opublikowany został list osoby, która zastrzegła nieujawnienie jej nazwiska. Stanowi on polemikę z listem b. żołnierza AK ps. „Jurjek”, zamieszczonym w nr. 10. „Relacji”. Trudno zgodzić się z tonem i argumentacją tego listu. Na dobry zwyczaj należałoby przemilczeć go, gdyby... Otóż to, gdyby jego autor sam nie pisał nieprawdy.

Tak się złożyło, że jako siedemnastoletni wówczas „zapłuty karzeł reak-

cji” aresztowany został 14 marca 1945 roku przez funkcjonariuszy Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Puławach i miałem tę wątpliwą przyjemność poznać z autopsji nie tylko podziemia budynku przy ul. Zwycięstwa 93 w Puławach. Co prawda nie sadzano mnie na rozpalonej, do czerwoności blasze, zapewne jeszcze wtedy nasi rodzimi „śledowaciele” nie osiągnęli takiego poziomu wiedzy i sprawności fachowej. Niemniej „trwała pamięć” rozmów z nimi pozostały mi polamane zebra, obojęczki i ręka.

Wspominam to tak na marginesie, by niejako wylegitymować moje prawo do oświadczenia, że wterzę „Jur-

kowi”. W podziemiach budynku, gdzie nas więziono, było pomieszczenie, w którym znajdował się trzon kuchenny. O ile pamięć mnie nie zawodzi, nie był wtedy używany, bowiem jedzenie dla aresztowanych przywożono ze stołówki pobliskiej Komendy Powiatowej MO. Później włączono go do „eksploatacji”.

Nie pochylałem i nie pochylałem mordów bratobójczych, jakich dopuszczano się zbrojne podziemie, ale bezpośrednio znajomość rozwoju sytuacji, jaka nastąpiła po wkroczeniu Armii Czerwonej w lipcu 44 r. na Lubelszczyznę, uniemożliwia mi bezwarunkowe ich potępienie.

Nie jest moim zamiarem epatowanie

opisywaniem zbrodni, jakich dopuszczała się puławska „bezpieka”, lecz byłbym w niezgodzie z samym sobą, gdybym nie wymienił z długiej listy jej ofiar, chociażby kilku nazwisk ludzi, których zamordowano tam w trakcie badań: Dondański — restaurator z gm. Rybitów, ojciec i syn Jurakowie z gm. Godów, których zastrzelono konających z przyczyny gangreny, jaka udała się w następstwie odbitych stóp, Józef Wójcik z Pożoga, Jan Mazurkiewicz z Puław, który zmarł na skutek uszkodzenia organu płciowego.

Prowadzone później śledztwo w celu ustalenia okoliczności śmierci Jana

Ciąg dalszy na str. 6—7

KORRESPONDENCJA WŁASNA Z BRZEŚCIA

TROCHE POLSKI ZA BUGIEM

Waldemar Piasecki

WPIERWSZĄ niedzielę po Wielkanocy w prawosławiu wypada Dzień Zaduszny. Jest to święto ruchome. W tym roku przypadło w dniu 7 maja. Po raz pierwszy było ono oficjalnie dostrzeżone przez władze ZSRR, jako tzw. Dzień Pamięci. Białorusini, z którymi tego dnia rozmawiałem w Brześciu, powiedzieli krótko: „Gorbaczow oddał nam religię, Bóg mu nagrodzi”. Naturalnie nie jestem pewien, czy przywódca komunistycznego takie życzenie jest bliskie, nie mam natomiast żadnej wątpliwości, że początkowe stwierdzenie dotyczące „oddania” jest prawdziwe, choć posługuje się przenośnią. To bowiem „oddanie” znaczy tyle co: nieutrudnianie, nieprzeszkadzanie i nieszkodzenie nikomu z powodu przekonań religijnych oraz zaakceptowanie roli chrześcijaństwa w historii i w dniu dzisiejszym.

Mogłem zatem do woli napatrzeć się na setki brzeszczan zmierzających do cerkwi. Przeważali ludzie starzy, głównie kobiety w chustach o typowych barwnych motywach na czarnym tle. Skłamałbym jednak upierając się, że młodych nie było. Bo byli. Nie przypuszczam też, aby po tej wizycie musieliby się gdziekolwiek tłumaczyć; choćby przed rodzinną organizacją młodzieżową. „Pieriestrojka” ogarnia również i tę, jakże ważną, dziedzinę ludzkiego życia, którą obłąkany reżyser historii i treser własnego narodu, Józef Stalin, chciał zniweczyć, wdeptać w ziemię i „skompromitować”.

Po wejściu do świątyni, w przedświątku wierni żegnają się na modłę prawosławną, po czym podchodzą do ustawionego po prawej stronie stolika, na którym leżą podłużne kartki papieru. Wypisują na nich imiona bliskich i idą na drugą stronę, gdzie sprzedawane są świece oraz przyjmowane kartki. Oddawaniu ich towarzyszy zwykle jednorublowy datek. W intencji zmarłych odprawiana będzie msza. Wierni przynieśli także żywność, składaną akurat na niskich podłużnych stołach, którą po nabożeństwie zanoszą na groby bliskich.

— Złożyłam kartkę w intencji moich rodziców, trzech braci, siostry i męża — mówi mi po polsku stara kobieta, której pożyczylem długopis. — Skąd znam polski? Panie, toż ja skończyłam przed wojną polską szkołę. Polskie koleżanki miałam. Jak miałam zapamiętać? Teraz u córki często patrzę na polską telewizję...

Inny dialog. Po rosyjsku.

— Nie wstydę się przyjść do cerkwi. Teraz już nie. Mam dwadzieścia pięć lat. Jestem sprzedawczynią. Będę się modlić i zapalę świece za moją mamę, dziadków i wujka.

— A koleżanka?

— Ona jest niewierząca. Przyszła ze mną z ciekawości.

Cerkiew szczerze wypełnia się ludźmi, dochodzi godzina nabożeństwa. Usuwam się, by nie razić swoją ignorancją, nie przeszkadzać w tym spotkaniu z duszami i pamięcią najbliższych.

DO cerkwi przyjechałem po wizycie na polskim cmentarzu i w polskim kościółku na Piereulku Lomonosowa. Zawiózł mnie pierwszy napotkany taksówkarz.

— Polak? Na cmentarz i do kościoła? Dobra! Dasz trzy ruble, to pojedam i zaczekam... Dużo waszych teraz tam chce, żeby ich wozić — objaśnił.

Potem już, jadąc, nastawił radio na program warszawski, chcąc zapewne uprzyjemnić mi czas podróży na przedmieścia Brześcia. — Po dwunastu minutach jesteśmy na miejscu.

Teren drewnianej świątyni i plebanii jest ogrodzony. Za płotem niebies-



Pani Aniela Awarczuk na „swojej” plebanii.

ki „maluch” na białostockiej rejestracji. Do furtki podchodzi kobieta w średnim wieku i uśmiechając się mówi: „Niech będzie pochwalony. Prosimy”. Okazuje się, że księża wyjechali na msze do Czerniowczyc i Peliszczy, gdzie znajdują się polskie kościoły. Mają wrócić za dwie-trzy godziny. Pani Aniela Awarczuk zaprasza jednak serdecznie do wnętrza kaplicy.

— Tę kaplicę drewnianą zbudowano w 1938 roku i latem poświęcono. Niedaleko stąd rozpoczęto budowę dużego kościoła, ale udało się zrobić tylko fundamenty i rozpoczęła się wojna. Potem już nie prowadzono budowy, bo wiadomo, jakie czasy nastąpiły... — mówi pani Aniela.

I płynnie polska opowieść o rozmaitych czasach Polaków w Brześciu. Najwięcej o tym, jak przyszli księża Tadeusz i Zbigniew z Białegostoku, bo o sprawach radosnych trzeba mówić jak najczęściej. Ksiądz Tadeusz jest proboszczem. Przybył tu po śmierci poprzedniego pasterza, a jakiś czas potem dojechał ksiądz Zbigniew. Młody, przystojny, energiczny. On prowadzi remont pięknego kościoła w Czerniowczycach i poświęca się temu bez reszty. To widzą wszyscy.

— To nie jest zwykły człowiek — mówi po cichu pani Aniela i żegna się. — Nie, panie... To motyl, to ptak, to anioł...

Dalej zaś o życiu parafii. O ślubach, chrztach, pogrzebach też niestety, bo ludzie się starzeją i czas na nich przychodzi. Ale też weselej: o służbie ministranckiej, do której garną się chłopcy, o tworzeniu chóru parafialnego i o tym, że w niedzielę, na mszach o dziewiątej i dwunastej, kościółek nie może pomieścić wszystkich wiernych. O dziewiętnastej już troszkę luźniej.

Wiedzę mnie pani Aniela przed oltarzem, do wspaniałego obrazu Marii. Gospodyni nie potrafi powiedzieć, z

którego wieku pochodzi. Wie jednak, że przeniesiony został z kościoła Świętego Krzyża stojącego do dziś w samym centrum Brześcia (muzeum krajoznawcze). Nowo wzniesiony kościół, wyprzedzony w czasie drewnianą kaplicą, miał być pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, Królowej Polskiej. Dlatego obecność świętego obrazu o tej treści — nieprzypadkowa.

Dowiaduję się też o losach rodziny Anieli Awarczuk i jej silnym postanowieniu poświęcenia się pomocy kapłanom kościoła. Nie wyszła za mąż. Pomaga na plebanii, gospodarzy. Tak chce dożyć swoje życie, które nie było życiem siełankowym, a zgola odwrotnie.

— Gawariat, czto rymski papa k nam prijediet — mówi mi taksówkarz po drodze na cmentarz.

Dziwne, ale były to także ostatnie słowa pani Anieli. Już przy pożegnaniu.

Najpierw żaluję, potem nie żaluję. W aparacie skończył się film i nie mam już czym robić zdjęć, gdy docieramy na cmentarz. Żaluję, bo chciałoby się utrwalić obraz tej XVIII-wiecznej nekropolii. Nie żaluję jednak, gdy chodzę po niej pięć minut. Byłoby to zdjęcie do materiału interwencyjnego. A ja nie chcę być tu interwentem. Nie jestem u siebie. Chodzę więc po kołniercu kwitnących konwali, soczystych pokrzyw i patrzę.

*Maryło nasza luba,
prędko nam zwiędłaś,
w wiosennym rozkwicie.
Jak kwiat cudowny
przemknęłaś
przez życie.*

Inskrypcja pochodzi z pomnika na grobie dwudziestojednoletniej Marii Siewert, zmarłej w 1888 roku, zwieńczonego rzeźbą anioła. Kapitan Jan Noskowski w wieku 27 lat poległ na Dalekim Wschodzie w 1904 roku. Do jego krypty usiłowano się dostać, rozwalając płytę frontową. Z kolei kapitan Władysław Stachiewicz „padł od kuli wroga w zdobyciu Brześcia” 9 lutego 1919 roku. Na płycie ktoś położył wiązankę tulipanów. Na grobie Ludwika i Szaniawskich Pachulskiej, zmarłej w 1802 roku, bezgłowy anioł składa dlonie do modlitwy. Robi się smutno. Przychodzi mi wtedy na myśl obraz cmentarza prawosławnego w Lublinie. Niszczony, dewastowany,

opuszczonego. Czy naprawdę właśnie taka ma być „logika dziejów”? Czy naprawdę, gdy odchodzi skądś jakieś państwo, zmienia się granica czy porządek społeczny, cierpieć mają groby? One też? Z jakiej to się bierze tradycji?

Słyszę nagle głośną polską modlitwę. Przez gałęzie krzaków dostrzegam cztery osoby stojące nad grobem z prostym metalowym krzyżem. Mogiła jest dobrze utrzymana. Wokół niej rosną kwiaty. Kobieta zapala znicze nagrobne. Trafiałem na ostatni polski grób, jaki wykonano na tym cmentarzu. Trzydzieści lat temu. Do ojca przyszły dzieci. Dzieci mają już swoje lata. Mają też pamięć. Pamięć ojczyzny, którą był dla nich, jest i pozostanie Brześć.

Mówi mi kobieta:

— Ten cmentarz był cztery razy taki, ale go Niemcy zniszczyli. Zostało tyle, co pan widzi. Mało. Ludzie umierają, panie, i nie ma komu dbać. Wszystko idzie w ruinę. Słyszałam gdzieś, że to się ma u nas zmienić tak jak na Rosie w Wilnie czy na Łyczakowie we Lwowie. Daj Bóg...

Mężczyzna:

— Nas tu Polaków w Brześciu będzie ze dwadzieścia tysięcy na 258 tysięcy ogółem. Niewiele tej naszej Polski zostało. Dobrze, żeby choć ten cmentarz uratować...

— Ale się przy Gorbaczowie dużo zmienia. Daj Boże, żeby żył długie lata. Oddaje ludziom kościoły. Polakom też. I w Wilnie, i we Lwowie. Da Bóg, może i u nas powróci kościół Świętego Krzyża. Pan widział, co się dzieje w tym drewnianym kościółku... Ile ludzi...

Kobieta III:

— Słyszysz się, że Ojciec Święty ma odwiedzić ZSRR. Może i o nas nie zapomni...

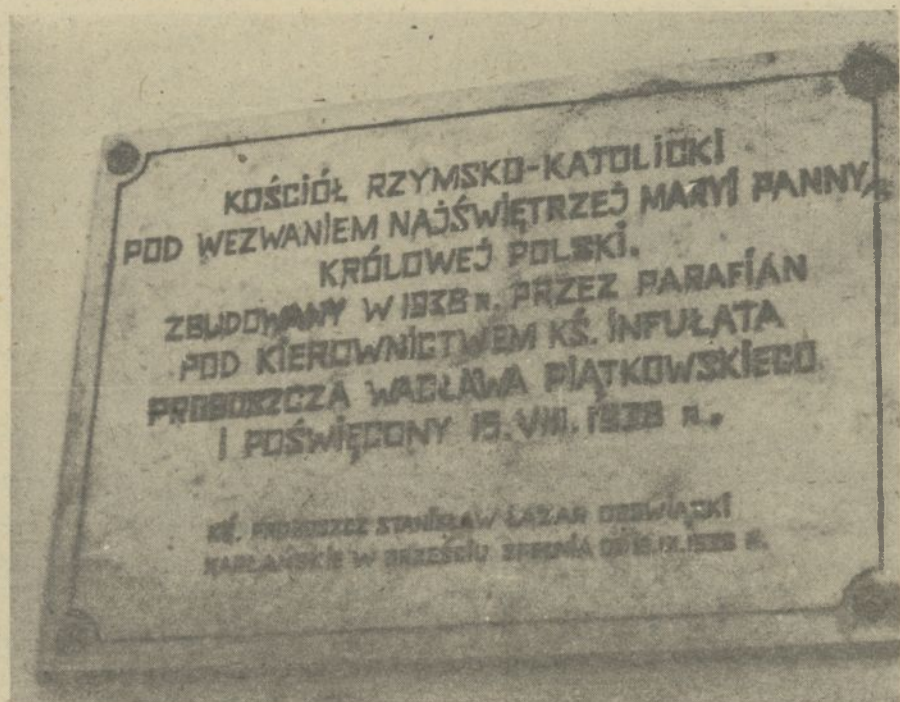
Wszyscy razem proszą przy pożegnaniu, żebym pozdrowił Polkę.

Natomiast przy pożegnaniu z kierowcą taksówki usłyszę po polsku: „Do widzenia. Mam w Polsce rodzinę”.

SIEDZĘ przy kawie z moimi brzeskimi przyjaciółmi. Sumuję wrażenia, impresje. Jak wygląda pogranicze naszych państw, kultur, narodów widziane z tej strony Bugu? Czy z Brześcia patrzy się na Polskę, tak, jak — powiedzmy — z Białegostoku na Białoruś? Czy świadomość istnienia odrębności narodowej w większości innego narodu rozkłada się po obu stronach Bugu symetrycznie? Jak łatwo jest być Białorusinem w Polsce? Jak łatwo Polakiem na Białorusi? Rozmawiamy, przekonujemy się. Znowu schodzi na Gorbaczowa i jego „pieriestrojkę”.

Ktoś włącza znany przebój Rosiewicza.

Fotografował
Waldemar Piasecki



Tablica na ścianie drewnianej świątyni przypomina czas polskiej obecności.

TO TAK, JAKBYŚ SZEDŁ PRZEZ NAJWIĘKSZY DESZCZ I NIE WIESZ, ZE PRZEMOKŁĘŚ AŻ DO SERCA...

RICHARDA DEMARCO PIELGRZYMKA DO POLSKI

Waldemar Sulisz

DLA Richarda Demarco i grupy trzydziestu pięciu osób, wśród których byli malarze, poeci, reżyserzy, producenci i krytycy z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, pobyt w Lublinie zaczął się od deszczu. Deszcz towarzyszył im przez cały pamiętny wieczór i pamiętną noc, podczas której tak wiele się wydarzyło. Kiedy w galerii BWA zobaczyłem go po raz pierwszy, w niczym nie przypominał właściciela słynnej na cały świat galerii, w której gościli między innymi Abakanowicz, Hasior, Kantor, Nowosielski, Szajna, Tomaszewski; przypominał raczej zagubionego Don Kichota, który skrywa w sobie wrażliwość i wspaniałą wyobraźnię...

Kiedy rozmawialiśmy, w jego słowach i myślach poezja mieszała się z rzeczywistością. Kiedy wychodziliśmy z galerii BWA, dostrzegł gotycką bryłę Kościoła Wzytek. — Taka jest moja galeria — powiedział potem. — Więcej niż galeria. Ona jest najpierw w głębi mojego serca, w moich marzeniach i nadziejach na lepszy świat sztuki. To nie jest galeria ograniczona materializmem naszego czasu, gdzie każda sztuka została zredukowana do efektownego opakowania. To jest miejsce na teatr, na muzykę, na taniec. Miejsce, z którego wyruszam w swoje podróże. Teraz jestem tu, w twoim kraju. To jądro ciemności w środku Europy, przestrzeń dzieląca Wschód i Zachód, o której Żydzi mówią, że to ich ojczyzna. Ta przestrzeń jest związana z gettem Krakowa, Warszawy, dziś Lublina.

Rozejrzałem przede mną kolorowe fotografie. — Zobacz, to jest wyspa, osiem kilometrów od centrum, wyspa Makbeta. Porzucasz Edynburg i łodzią płyniesz do tej przestrzeni Makbeta, gdzie historia jest legenda. Jesteś w przestrzeni morza i ładu, słyszysz krzyk mew i głosy fok, i uczestniczysz w takim spektaklu, gdzie zachód słońca, wiatr i deszcz grają swoje role, to jest po prostu teatr. A na tej fotografii widzisz trzy kobiety... Te piękne kobiety śpiewają i mówią w trzech językach, a oto widzisz dwie Lady Makbet, mówią po angielsku i włosku. Widzisz, ja marzę o międzynarodowej komunikacji poprzez sztukę. I kiedy opuszczasz już wyspę, leżącą na północy Szkocji, widzisz w promieniach zachodzącego słońca pracujących ludzi. Ich harmonia z otaczającą przestrzenią jest cudowna. To jest świat sztuki.

Wiesz o tym, że zapraszam do siebie teatry. Na festiwal do Edynburga przyjeżdża corocznie kilkadziesiąt teatrów. Ja czekam na teatry, które ryzykują wszystko, aby zadawać pytania o naturę teatru, aby uwolnić go od świata kiczu, od idei sztuki jako rozrywki. Bo przecież sztuka nie musi kojarzyć się z Bolszom Teatrem czy Centrum Lincolną w Nowym Jorku. Możesz jechać

ze mną, ale możesz i do Hollywood, który zabierze cię w świat Disneya, hamburgerów MacDonalda, do Disneylandii, która jest zaprzeczeniem świętej natury sztuki.

Widzisz, ja znalazłem inną przestrzeń, która jest w Edynburgu, jest także w Tel-Awiewie, jest w Krakowie i Lublinie. Twoje miasto jest szczególne. Piękne jak Siena czy Florencja. A jak pięknie jest tu, w waszej kawiarence; to miejsce przypomina zaułki Wenecji. Bo Lublin jest chyba Wenecją twojego kraju. Jednego nie rozumiem, przecież dopiero dziesiąta wieczerza, a oprócz tej kawiarenki w twoim pięknym Starym Mieście jest ciemno. Gdzie są ludzie, dlaczego tak pusto?

A czy na twoje miasto też spadają tony zanieczyszczeń? Ono jest tak piękne i tak zniszczone. Czy wy myślicie o tym, jak poradzić sobie z zanieczyszczeniami powietrza i wody? Przecież stworzyliście sobie takie powietrze i taką wodę. Czy myślicie o tym, jak poradzić sobie z gnijącą siłą materializmu, aby nie stać się mu zupełnie oddanym? Przecież wy, Polacy, zawsze najlepiej rozumiecie duchowy wymiar człowieka, który jest najważniejszym wymiarem sztuki. Tkwi w jej sercu.

Czy czytelnicy twojej gazety to rozumieją? Z nami był cały czas przedstawiciel „Res Publici”, to ważne pismo, tam ta nasza podróż zostanie zanotowana. Dobrze, że ty ją notujesz. Z nami jest pięciu pisarzy, oni też to zapisują. Ja potrzebuję pomocy w stworzeniu dialogu, który jest ważniejszy niż słowa polityków. I tego dialogu, między człowiekiem a człowiekiem, tak bardzo nam potrzeba. W świecie mass mediów, świecie Sky Telewizji, nieprzyzwoitej telewizji, która wierzy mi, jest bardziej dla Polski niebezpieczna, niż głupota stalinizmu. Na tą najgorszą beznaczenność czeka każde polskie mieszkani.

I dlatego wrócę w październiku do twojego kraju, żeby kontynuować tę podróż, przywiozę znowu trzydziestu pięciu artystów. Dlaczego nie pojedę do Włoch, dlaczego nie do Jugosławii, dlaczego nie do Rumunii, która jest też krajem, o którym nigdy nie zapomnę, biednym krajem? Żeby twój kraj nie był miejscem, gdzie mieszkają Polacy po długiej ekologicznej agonii, ale miejscem dla alternatywy na amerykańskie rozwiązania, które pokonują Europę.

Wielka Brytania, Niemcy, Francja — te wielkie kraje Europy są w stanie kryzysu duchowego, nie materialnego. Dlaczego wy nie wiecie, co to jest energia naturalna? To nie jest energia nuklearna, i Europa już to rozumie.

Oglądałeś ze mną przedstawienie Teatru „Grupa Chwilowa”. To jest dla mnie ważny teatr. Próbuje zdefiniować

tę potrzebę codziennego cudu, potrzebę katharsis, drogę odpuszczenia samym sobie grzechów nie tylko własnych, ale grzechów naszych ojców, naszych wrogów. Czy możesz to sobie wyobrazić, przebaczyć tym, którzy rozbili naród żydowski? Wielkie nieba, może być tylko jeden kraj w całej Europie z historią Polski...

Widziałem dziś wiele pięknych miejsc w twoim mieście. Galerię „Labirynt” ze swoją głęboką filozofią, piękne wnętrza prywatnej galerii „Nowej”, tę cudowną kawiarenkę w najpiękniejszym zakątku Lublina, piękną w swojej atmosferze, tak otoczoną galeriami, wreszcie teatr w grodzkiej bramie, gdzie byłeś wraz ze mną świadkiem już nie teatru, ale czegoś idącego w stronę rytuału. Jedno mnie zaskoczyło: że nie widziałem z nami kapłanów, seminarzystów, oni powinni oglądać to przedstawienie, wyrażające sens modlitwy, modlitwy za Polskę...

Zapytałem Richarda, dlaczego tak prędko dostrzegł w tym mieście, polskiej Florencji, jego zniszczenie, przemijanie starych murów i kamienic, dlaczego tak dotkliwie doświadczył czasu niszczenia i przemijania tej małej, biednej Polski...

— Widzisz, to smutne, co teraz powiem. Ale przecież to twoje państwo jest sprawcą tego, że tysiące ton zanieczyszczeń spada bez żadnych ograniczeń na wasze miasta, że rzeka twojego miasta już dawno przestała być rzeką, dlaczego wasi politycy nie rozumieją potrzeby naturalnej energii? Jest w każdym z was lęk, jądro ciemności tkwiące w waszym sercu, że przecież tak dalek być nie może i to musi trzymać cię w pogotowiu, zmuszać do codziennej modlitwy i nawet jeśli mamy trudności w wierze w Boga, musimy zrozumieć, że pozostawieni sami sobie, biedni ludzie, niewiele osiągniemy. Bez dialogu z siłami natury przegramy...

Patrzysz na mnie. Nie, ja nie jestem członkiem Partii Zielonych. Jestem artystą i wystarczy nim być, aby zrozumieć, że trzeba żyć razem z kwiatami, drzewami, wiatrem, kamieniami, trzeba po prostu pamiętać o tajemnicy stworzenia i umieć ją uszanować. Na spektaklu czulem obecność wielu ludzi, nie tylko polskich Żydów, którzy szli do komór gazowych, ale także tych, którzy urodzą się w Polsce czystej, mam nadzieję..., będą wdychali czyste powietrze, jedli zdrową żywność, będą żyli w Polsce wolnej, komunikującej się bez przeszkód z całym światem. Dzięki Bogu, teraz kiedy macie wybrać prezydenta, kiedy jest nadzieja na demokrację, jest to możliwe. A my wszyscy będziemy patrzeć na Polskę, to jest ekscytujące, jak sobie poradzicie, jakie znajdziecie rozwiązanie, polskie rozwiązanie...

Zapytałem Richarda o stacje jego wędrówki po Polsce, o ważne miejsca tej wędrówki. — Więc najpierw była

Warszawa, dom Szopena, polskie tętno, później podróż do Łodzi, wspaniałego muzeum sztuki, gdzie porozumiewała się Polska i Rosja, później był Gdańsk, Poznań, Wrocław. No a potem był Oświęcim, którego nie można ominąć w polskiej geografii. Jak strasznie to nieprzyzwoite, że idea Oświęcimia, krematorium została umieszczona, była realizowana obok najwspanialszego miasta Europy, Krakowa — miasta Mickiewicza, Wyspiańskiego, Witkiewicza, Kantora, miasta moich marzeń. Dalej była Nowa Huta i ta sama nieprzyzwoitość. Nie uruchomiono jej jak Oświęcimia, ale w pełni operatywnie i z podobną gwarancją, że zniszczy się Wawel, koronne klejnoty, że nie będzie „Damy z lasiczką”. Wasi politycy powinni już zaprzestać tego szaleństwa, ochronić Polskę przed czasem, kiedy miliony turystów będą zwiedzać imitację Polski...

Było Zakopane, gdzie tyku artystów szukało inspiracji w pięknie górskiej przyrody, w naturze, w śniegu, w chmurach. A także Sandomierz, piękne nieznanne miasto Europy, no i jestem teraz w Lublinie. Powinienem jeszcze być na Mazurach i we Lwowie.

Kiedy słucham tych słów, natrętnie powraca do mnie wiersz Ryszarda Krynickiego, który znam na pamięć:

„Moja delikatna żona walczy o ochronę naturalnego środowiska człowieka. Jej smukłe ciało gnie rano w chmurach sadzy i siarki, na ulicach rodzących samochody i głód, w załamach wiewiówek nieustrudzone płodzących wielodzietne rodziny, wśród kopalń i hut, w szpazmatycznym pełznącym bez ruchu jak szary lodowiec miasta z rdzy i betonu. Szukam jęj nadaremnie — aż nagle porzuconą, znajduję w podługu (sam porzucony? w ucieczce przed sobą?) i ledwo poznaję przez grubą raster jej niepewny uśmiech na grupowym zdjęciu w zmużonym reportażu o nowych metodach ochrony środowiska w lokalnej gazecie, która znowu oblicuje żelazo i węgiel, samochód, nową hutę i którąś tam Polskę dla każdej rodziny. Naszej też niestety”

I kolejne słowa Richarda, które jakby współgrają z wierszem. — Widzisz, ja wiem, że niemożliwą jest rzeczą oddać Polsce godność w jednym życiu. Mam nadzieję, że po mnie, po nas przyjdą młodzi, rozumiejąc potrzebę takiej wyprawy do Polski. Takiej pielgrzymki. Bo twój kraj nie potrzebuje turystów, potrzebuje pielgrzymów.

Kończy się nasza rozmowa, kończy się pobyt Richarda w Lublinie, chciałby jeszcze zobaczyć wystawę Dwurnika, pałac w Kozłowie. Dziękujemy mu za przybycie, za miłość do Polski... I wracają do mnie słowa wyrwane z jakiegoś wiersza: „To tak jakbyś szedł przez największy deszcz i nie wiesz, że przemokłeś aż do serca...”

PS. Richard Demarco przebywał w Lublinie 7 i 8 maja 1989 r. Wraz z nim odwiedziła nasze miasto grupa trzydziestu pięciu osób, artystów, producentów, właścicieli galerii, krytyków. Demarco jest właścicielem i twórcą cenionej w całym świecie „The Richard Demarco Gallery”, mieszczącej się w centrum Edynburga. Odwiedził między innymi: Galerię Foksal, Studio Edwarda Dwurnika, Studio Tadeusza Kantora, Studio Władysława Hasiora. Pobyt zakończył się przyjęciem w Instytucie Brytyjskim. Trwał od 1 do 10 maja 1989 r. W Lublinie Demarco i osoby mu towarzyszące odwiedziły: Galerię Labirynt, Galerię Jerzego Kostki, obejrzały wystawę grafik Krzysztofa Klempki oraz przedstawienie Teatru „Grupa Chwilowa” pt. „Cudowna historia”. Po spektaklu odbyło się spotkanie gości z przedstawicielami lubelskiego środowiska artystycznego; miało ono miejsce w kawiarni „Trzosiak” przy ulicy Grodzkiej, która powoli staje się kawiarnią artystyczną.

Wizyta w Lublinie jest konsekwencją spotkania Teatru „Grupa Chwilowa” z Richardem Demarco w Edynburgu w 1988 roku, gdzie teatr przebywał na Światowym Festiwalu Sztuki.

Pobyt Richarda Demarco w Lublinie zaliczyć trzeba do wydarzeń. Wyprawa artystyczna Galerii Demarco do Lublina spotkała się z brakiem jakiegokolwiek zainteresowania ze strony lubelskich dziennikarzy.

LISTY - POLEMIKI

Ciąg dalszy ze str. 4

Mazurkiewicza zostało umorzone wobec braku podstaw do wniesienia aktu oskarżenia; zapewne z tej przyczyny, że zatuszowaniem tej sprawy oświadczenie zajął się Radkiewicz, ówczesny minister bezpieczeństwa publicznego.

Nikt z nas nie wróci życia tym poległym w lesie między Chodłem a Bełżycami i tym, których skrytobójczo mordowano strzałami w potylicę, duszono paskami od spodni czy zakatowano uderzeniami kijów, kołb i prętów żelaznych w PUBP Puławy. Ci pierwsi polegli w walce z bronią w rękę, a ci drudzy...

Autor listu sugeruje, że mord, jakiego dopuścił się 9 sierpnia 1943 roku w Borowie oddział NSZ Leonarda Zub-Zdanowicza ps. „Ząb”, to „biała plama”. Zapewne go pamięć zawodzi. Sprawa ta dla każdego, kto interesuje się historią najnowszą Polski i nie tylko, jest niemal powszechnie znana. Był to czyn haniebny i zbrodniczy. Zdanowicz uszedł sprawiedliwości, wycofując się z Niemcami w szeregach „Świętokrzyskiej Brygady NSZ”, a kilka lat temu stanął przed obliczem Boga.

Nie wiem, jaki jest stopień wiedzy autora listu o wydarzeniach z lat okupacji niemieckiej na Lubelszczyźnie. Myślę, że nie od rzeczy będzie, by ujawniona została inna faktyczna „biała plama” równa zbrodni borow-

skiej. Systematycznie przemilczana, wstydliwie ukrywana przez wszystkie lata naszej powojennej rzeczywistości. 4 maja 1944 roku w Chruslinie-Owczarni oddział AL Bolesława Kowalskiego ps. „Cień”, wspomagany częścią oddziału AL Edwarda Gronczewskiego ps. „Przeziórka”, napadł podstępnie na kwaterujący we wsi oddział 15 pp/3 AK ppot. Mieczysława Zielińskiego ps. „Moczar”, mordując 18 i raniąc 13 żołnierzy tego oddziału.

Był to czyn równie haniebny i zbrodniczy. Mimo zawartych później pisemnych porozumień między terenowymi komendami AK i AL o przekazaniu po wojnie sprawy „Cienia” niezawisłym sądom Rzeczypospolitej, „Cień” nigdy z tej przyczyny przed nie nie został pozwany. Stanął podob-

nie jak Zub-Zdanowicz przed sądem boskim, tyle że w mundurze pułkownika LWP, obwieszonym licznymi orderami i odznaczeniami.

Piszę o tym nie po to, by jątrzyć. Czas ostudził emocje i złagodził gorzyc krzywdy. Jednak by wspólnie tworzyć dzień dzisiejszy, trzeba jawnie i głośno mówić o dniu wczorajszym w warunkach równości stron ze sobą rozmawiających, bowiem mimo iż jesteśmy Polakami — byliśmy, jesteśmy i zapewne pozostaniemy stronami. Mit o jedności moralno-politycznej Polaków był tylko mitem, nigdy nie był rzeczywistością.

Autor listu, mimo deklarowanej gotowości wspólnego działania, odsądza od czci i wiary „rzekomego żołnierza AK z bandy »Zapory«” posługującego

W 1984 roku przygotowywałem przekład na język polski listów wybitnego pisarza radzieckiego Izaaka Babla. Nie mogłem wówczas opublikować w całości dostępnej spuścizny epistolarnej tego autora, mimo że była ona wydrukowana w Związku Radzieckim w okresie Chruszczowowskim. Nie pozwolono też wymieścić obu głównych zabójców Babla: Josifa Wissarionowicza Stalina i Ławrientija Berii. Cały zaś biogram Babla, poprzedzający druk listów, pocięto tak, że zostały zeń tylko resztki. O nawiąskach z kropkami lub ustawowo zagwarantowanym zapisie numeru odpowiedniego Dziennika Ustaw „zapomniano”.

Ze względu na nadwężone zdrowie nie został powołany do wojska i w pierwszych miesiącach wojny, zimą 1941/1942 roku, pracował jako woźnica wozu konnego.

Wykształcenie matematyczne okazało się przydatne Solżenicynowi, gdy wysłano go do szkoły artyleryjskiej, której intensywny kurs zakończył w listopadzie 1942 roku. Wkrótce potem został dowódcą baterii i na tym stanowisku służył, na pierwszej linii frontu, aż do aresztowania (w stopniu kapitana) w lutym 1945 roku.

Aresztowano go w Prusach Wschodnich. Podstawą była ocenzonego

Swoje przeżycia i doznania opisywał w listach do rodziny, zwłaszcza do żony — Natalii Rieszetowskiej (z wykształcenia chemik, później docent, muzyk) oraz w listach do przyjaciół i znajomych.

Zona musiała ukrywać przed wszystkimi fakt, że jej mąż jest „lagiernikiem”. Przy ówczesnym terrorze politycznym w nieludzkim, stalinowskim ustroju socjalistycznym, od razu znalazłaby się poza nawiasem społeczeństwa, gdyby sprawa wyszła na jaw. Wpisując w ankiecie personalnej dane o mężu (1948 r.), musiała napisać, że jest w trak-

dzili jakąś korespondencję, choć przerywaną. Po latach Natalia Rieszetowska, mając zupełnie inny status i znajdując się w diametralnie zmienionych warunkach politycznych, pisała o tych smutnych chwilach w życiu Solżenicyna, charakteryzując stan jego zdrowia: „Napadowe, pulsujące bóle w okolicy żołądka, brak apetytu, coraz większa utrata wagi. Albo nadkwasota, albo wrzód żołądka” (op. cit. s. 163).

Solżenicyn uzyskał zgodę na wyjazd do stolicy obwodu — Dżambulu — na konsultację. Był przybyty. Piśmiennie gorąco poprosił jedną z przyjaciółek ex-żony o zajęcie się, na wypadek jego śmierci, resztkami dobytka. Ten „dobyttek” to utwory chorego. W Dżambule zrobiono wszystkie analizy i prześwietlenia. I znowu odgajny głos Rieszetowskiej:

„Nie, to nie kwalifikowało się na wrzód i w ogóle na dolegliwości żołądkowe. Był to nowotwór wielkości dużej pięści, który wyrósł na tylnej ścianie otrzewnej, naciska na żołądek i powoduje bóle. Niestety, bardzo możliwe, że jest to nowotwór złośliwy. Czy ma to związek z poprzednią operacją? Ale przecież tamtem guz do ostatniej chwili był ruchomy i lekarze byli przekonani, że nie da przerzutów. A może jednak dał?”

Jedni lekarze skłonni są przypuszczać, że jest to przerzut starego nowotworu: zgadzają się zarówno okres rozwoju guza, jak i limfatyczne drogi przenoszenia komórek rakowych. Inni uważają, że jest to samodzielny nowotwór, wolno rosnący, zestarzały i wcale nie złośliwy. Komu więc wierzyć? W każdym razie trzeba przygotować się na najgorsze” (s. 163—164).

W Dżambule Solżenicyn dowiedział się o issykkulskim korzeniu, którego odrobinę zdobył i próbował go zażywać. Po powrocie czuł się dobrze i odzyskał apetyt. „Jednak — czytany — nie ulega złudzeniom. Śmierć wydaje mu się niemal nieunikniona. Pościech widzi w tym, że nie wierzy w śmierć zupełną: »Jakaś substancja duchowa jednak zostaje«” (s. 164). Tymczasem popija nalewkę z korzenia na spirytusie.

W Taszkienckiej Klinice Onkologicznej, dotąd się udał po uzyskaniu zgody na wyjazd, zaaplikowano mu w ciągu półtora miesiąca pięćdziesiąt pięć zabiegów o łącznej dawce 12 tysięcy rentgenów, równocześnie podając środki farmakologiczne. „Guz — wspominała N. Rieszetowska (s. 165) — w dużym stopniu został zniszczony, niejako rozszedł się. Polecono mu pokazać się 1 czerwca. To był niezły znak, gdyż innym kazano zjawić się po miesiącu lub nawet po dwóch tygodniach. A jednak wątpliwości zostały: zwrócono mu życie, czy tylko odroczone śmierć?”

Zwrócono życie. Po 1954 roku następny raz pojechał Solżenicyn do Taszkienckiej Kliniki Onkologicznej w 10 lat później, ale nie jako pacjent, na kontrolę czy kurację, lecz jako znany w całym świecie pisarz. Chciał napisać powieść o „rakowym” pawilonie („Oddział chorych na raka”).

(Koniec odcinka 1. — cnd.)

Dr Jan Trochimiak — pracownik naukowo-dydaktyczny w Studium Języków Obcych AM w Lublinie, autor książek o literaturze rosyjskiej.

SOŁŻENICYN

Jan Trochimiak

Moją ówczesną propozycję opublikowania materiału o innym wielkim pisarzu radzieckim (może lepiej nazywać go rosyjskim) — Aleksandrze Solżenicynie, zbyto najprościej: milczeniem.

• • •

Aleksander Isajewicz Solżenicyn urodził się 11 grudnia 1918 roku w Kisłowodsku, w pobliżu Kaukazu. O własnej proweniencji i życiu pisał: „Mój ojciec studiował filozofię w Uniwersytecie Moskiewskim. Jednak studiów tych nie ukończył, ponieważ wraz z wybuchem wojny w 1914 roku zgłosił się jako ochotnik do wojska. Jako oficer artylerii walczył na froncie niemieckim i poległ latem 1918 roku, sześć miesięcy przed moim urodzeniem. Moja matka pracowała jako stenotypistka i wychowywała mnie sama. Mieszkałiśmy wtedy w Rostowie n. Donem, gdzie spędziłem dzieciństwo, młodość i w 1936 roku opuściłem szkołę podstawową. Bez żadnego impulsu z zewnątrz, już jako dziecko, miałem chęć zostać pisarzem i temu faktycznie złożyłem w ofierze większą część młodości”. Są to słowa z jego „Autobiografii” przedstawionej Komitetowi Nagród Nobla. Zaczepnąłem je z bardzo wartościowej dysertacji Jörga Hahna, opublikowanej w 1986 roku.

W latach trzydziestych Solżenicyn próbował opublikować swoje prace, nie znalazł jednak nikogo, kto chciałby zaakceptować jego manuskrypty. Doszedł więc do przekonania, że potrzebne jest mu gruntowniejsze wykształcenie. Zdobycie go w Rostowie nie było możliwe. Nie mógł zostawić chorej matki, a skromne środki nie pozwalały na przeniesienie się do Moskwy. Mając świadomość swoich uzdolnień, Solżenicyn zapisał się na wydział matematyczny uniwersytetu w Rostowie. (Nb. z ośmiu lat, które spędził później w lagrze, aż cztery pracował, dzięki wiedzy specjalisty-matematyka, w tak zwanej „szaraszce”, o czym będzie szerzej w dalszych częściach publikacji).

Niezależnie od studiowania fizyki i matematyki, studiował także zaocznie, w latach 1939—1941, historię, filozofię i literaturę w Moskwie. Niewiele dni przed wybuchem wojny w 1941 r. ukończył studia fizyczne i matematyczne w uniwersytecie rostowskim.

korespondencja Solżenicyna z lat 1944/1945 z kolegą szkolnym. Znalazło się w niej kilka sformułowanych bez respektu uwag o Stalinie. Dalszymi punktami „oskarżenia” były znalezione w jego raportówce szkice literackie i fragmenty zapisanych myśli. Oczywiście, aresztowanie nastąpiło w taki sposób, aby nikt się nie mógł dowiedzieć o niczym, nawet rodzina. Skuty kajdankami, bez oficerskich dystynkcji, został przewieziony z frontu, pod eskortą żołnierza i oficera, do Moskwy, gdzie najpierw siedział na „osławionej” Łubiance, a następnie w nie mniej „sławnych” Butyrkach.

W lipcu 1945 roku skazano Solżenicyna na osiem lat lagru, co wówczas uchodziło za wyrok łagodny. Przy braku dowodów, taki wyrok często opierał się o rozkaz wyspecjalizowanego komitetu NKWD (Narodnyj Komisariat Wnuriennich Diel).

Oczekiwanie na amnestię i zwolnienie, w związku z kolejnymi rocznicami zwycięstwa nad hitleryzmem, zawiadły. Obozy karne, które przeszedł, niejednokrotnie przedstawiał później Solżenicyn w swaj twórczości. Jego przeżycia ze specjalnego więzienia-instytutu badawczego dla wybitnych znawców różnych dziedzin nauki i techniki we wspomnianej „szaraszce”, w Marfino (w pobliżu dzisiejszej ostantkińskiej wlezy telewizyjnej) znalazły odbicie w powieści „Krag pierwszy” (W obozie kamnym w Ekibastusie (Kazachstan) pracował jako górnik, murarz i w odlewni („Jeden dzień Iwana Denisowicza”).

Poza pracą zajmował się pogłębianiem wiedzy, bardzo dużo czytał, ale tylko to, co go interesowało, co było, jego zdaniem, wartościowe. Chciał się wzbogacić intelektualnie i duchowo. Z rosyjskiej literatury interesowali go m. in. Herzen, Gonczarow („Oblomow”, „Urwisko”), Czechow, A. Ostrowski i Sałtykow-Szczedrin, ale przede wszystkim ukochany przez niego Włodzimierz Dał, którego czytał codziennie.

Delektował się muzyką poważną nadawaną przez radio, starając się maksymalnie pogłębić swą wiedzę muzyczną, zajmował się też językami obcymi. Uważnie wstuchiwał się w rozmowy współwięźniów, robił notatki, spisywał zdarzenia, historyjki, epizody, anegdoty.

cie rozwodu. Później trzeba go było rzeczywiście przeprowadzić. Swoją żonę z W. S. (też docentem, wdowcem) zawarła w ten sposób, że oboje ogłosili, iż są małżeństwem (bez rejestracji w Urzędzie Stanu Cywilnego).

Nic się w tym względzie nie zmieniło także po uzyskaniu rozwodu z Solżenicynem, który nie dowiedział się o tym od żony, lecz od kogoś z bliskich im osób (zob. N. Rieszetowska: „Solżenicyn. Realia i mistyfikacje”, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1977, s. 157—158).

W Ekibastusie Solżenicyna trapiła jeszcze inna sprawa. Otóż od dawna miał on niewielki guz, na który nie zwracał uwagi, ale nagle stało się coś zatrważającego. Guz zaczął rosnąć dosłownie z dnia na dzień. Nie było innego wyboru, jak poddanie się operacji. Mocno to denerwowało więźnia, nie mogącego wybrać ani lekarza, ani szpitala. Operowano go przy zastosowaniu miejscowego znieczulenia. Lekarze stwierdzili, że guz nie miał wzrostów z otaczającymi go tkankami, zachował do samego końca operacji ruchliwość i torbielowatość, nie mógł dać przerzutów i dlatego lekarze zapewnili, iż nie ma podstaw do dalszych obaw.

W miesiąc po upływie ośmioletniej kary Solżenicyn otrzymał orzeczenie, że nie jest wypuszczony na wolność, lecz dożywnotno zesłany do Kok-Terek (południowy Kazachstan). Na zesłaniu pozostawał od marca 1953 roku aż do czerwca 1956 roku. W dniu 5 marca, gdy podano wiadomość o śmierci Stalina, po raz pierwszy pozwolono wyjść Solżenicynowi bez eskorty.

Nie od razu zgodzono się na jego pracę w szkole. Przez pewien czas musiał pracować jako planista w rejonowej spółdzielni spożywców, a nauczycielem został dopiero przed końcem roku szkolnego. W tym samym czasie, pod koniec 1953 roku, Solżenicyn ciężko zachorował. Piszę o tym w cytowanej już „Autobiografii”, dlatego i my zatrzymamy się przy tej sprawie nieco dłużej, zwłaszcza że miała ona duży wpływ na całe jego życie i twórczość.

Rozstanie z żoną nie przerwało, jak się później okazało, wszystkich wątplych nici kontaktowych. Oboje prowa-

otwartą przyłbicą. Nie widać tu jednak, by obcyżaje te były mu znane

Henryk J. Kuryłło ps. „Strumyk”, b. żołnierz OP 15 pp/3 AK „Wilków” lub, jak kto woli, b. zapluty karzeł reakcji

W pogoni za wykrywaniem „białych plam” historii z okresu drugiej wojny światowej i tuż po jej zakończeniu anonimowy czytelnik „Relacji” w 14. numerze tego tygodnia, w dziale listy i polemiki na stronie 13, podał nieścisłe, a w pewnym stopniu nawet fałszywe wiadomości. Piszę on: „Jeszcze jedna »biała plama«, o której

trudno zapomnieć. W m. Borów w powiecie tarnobrzeskim banda ps. »Ząb« wymordowała 30 ludzi podstępem z AL”...

Gdyby to była prawda, rzeczywiście ów czytelnik odkryłby „białą plamę”. Jednak to nie jest prawdą, bo w okresie okupacji ani też po wyzwoleniu żaden oddział AL nie był wymordowany w miejscowości Borów. Nie można pisać o wydarzeniach, które w tej wiosce nie miały miejsca, a tym samym rzucić złego cienia na jej mieszkańców.

Mieszkańcy Borowa w okresie okupacji wykazali ogromny patriotyzm. Z narażeniem swego życia oraz życia swych rodzin współpracowali z oddziałami partyzanckimi. Okazywali im zawsze sympatię oraz pomoc w walce z okupantem. W odwet za to hitlerow-

cy przez cały okres okupacji stosowali niesamowity terror. Świadectwem tego jest gehenna, jaką przeszła ludność tej wioski, żyjąca cały czas pod strachem i niepewną jutra.

Oto niektóre przykłady, w każdej chwili do sprawdzenia, jeśli miałby ktoś wątpliwości:

1) Poza łapankami i przymusowym wywozem młodzieży na roboty do Rzeszy, już jesienią 1942 roku żandarmi zabierają kilku młodych mężczyzn i wywożą do obozu w Pustkowie, z którego żaden do domu nie powrócił;

2) W kilka miesięcy później, 8 lipca 1943 r., podczas akcji pacyfikacyjnej

Ciąg dalszy na str. 10

się ps. „Jurek”, chociaż tenże pisze, że w oddziale AK por. Hieronima Dekutowskiego ps. „Zapora” służył w latach okupacji niemieckiej. No cóż, jedna jest miara dla „Zapory” i jego oddziału — przecież to bandyta i banda napadająca wpięć na Niemców, a potem na władzę ludową; oto optyka osoby, która wolała (i słusznie) zastrzec swoje nazwisko i adres do wiadomości redakcji. Już widzę oczami wyobraźni, jak wyglądałoby to spotkanie i wymiana poglądów na fakty „z piszącym żołnierzem AK ps. »Jurek»”.

A tak na marginesie tej propozycji spotkania — do dobrych obyczajów należy, by zapraszający czynił to z

PRZEDWYBORCZY PEJZAŻ

Dokończenie ze str. 1

więcej kandydatów, tym mniejsze szanse rozstrzygnięcia wyborów w pierwszym terminie" — argumentowano.

(Obowiązuje bezwzględna większość głosów elektoratu). Zgłoszona koncepcja uzyskała poparcie 83,6 proc. członków partii. Nie zabrakło jednak goryczy. „Po co zabiegaliśmy o podpisy, skoro teraz odmówiono nam wsparcia”

— powie Stanisław Olko, sołtys z Czerliczyna pod Hrubieszowem. Rekomendacji KW nie uzyskał profesor Zdzisław Cackowski. „Nie wyrzekamy się tych ludzi — perswadował Andrzej Szpringer — apeluję jednak o dyscyplinę partyjną. Chodzi o zbyt wysoką stawkę. „Okragły stół” niczego jeszcze nie przesądził”.

W Komitecie Obywatelskim harcerze z zielonymi liśćmi klonowymi na ramieniu kończą zbieranie podpisów na kandydackie listy. Długi rząd ludzi (głównie starszych) wyklada dowody osobiste. Obok rozłożyły się stoiska wydawnictw niezależnych. Sprzedawane są także znaczki „stickery”, „cegiełki wyborcze” (500, 1000, 3000). Na murze, przy wejściu do pokoju xero, napis zieloną farbą „Precz z komuną”. Nie zamalowany. Kończy się druk plakatów z podobiznami przyszłych posłów i senatorów. Już wiadomo, kto uzyskał „błogosławieństwo Lecha”. Profesor Bender nie otrzymuje rekomendacji. Grupa starszych kobiet zapytuje, jak należy głosować. „Kreślić wszystkich, oprócz kandydatów „Solidarności” — pada odpowiedź. — To najprostszy klucz”.

Im dalej od centrum miasta, tym walka plakatowa przycicha. Na chropawym murze przy Dolnej 3 Maja czerni się hasło Alternatywy: „Zima wasza, wiosna nasza, a lato Muminów”.

Ale to się zmieni. „Gazetki ściennie” dotrą i na peryferie. „Czuje się oszłamiona agresywnością wyborczej propagandy — powie pani Anna Chomińska, gospodyni z Kalinowszczyzny.

— Strona rządowa prowadzi kampanię jakby z daleka, z okienka telewizyjnego, głośnika radiowego i łamów prasy. „Solidarność” i niezależni są bliżej ludzi. Nie wiem, co się bardziej oplaci?”

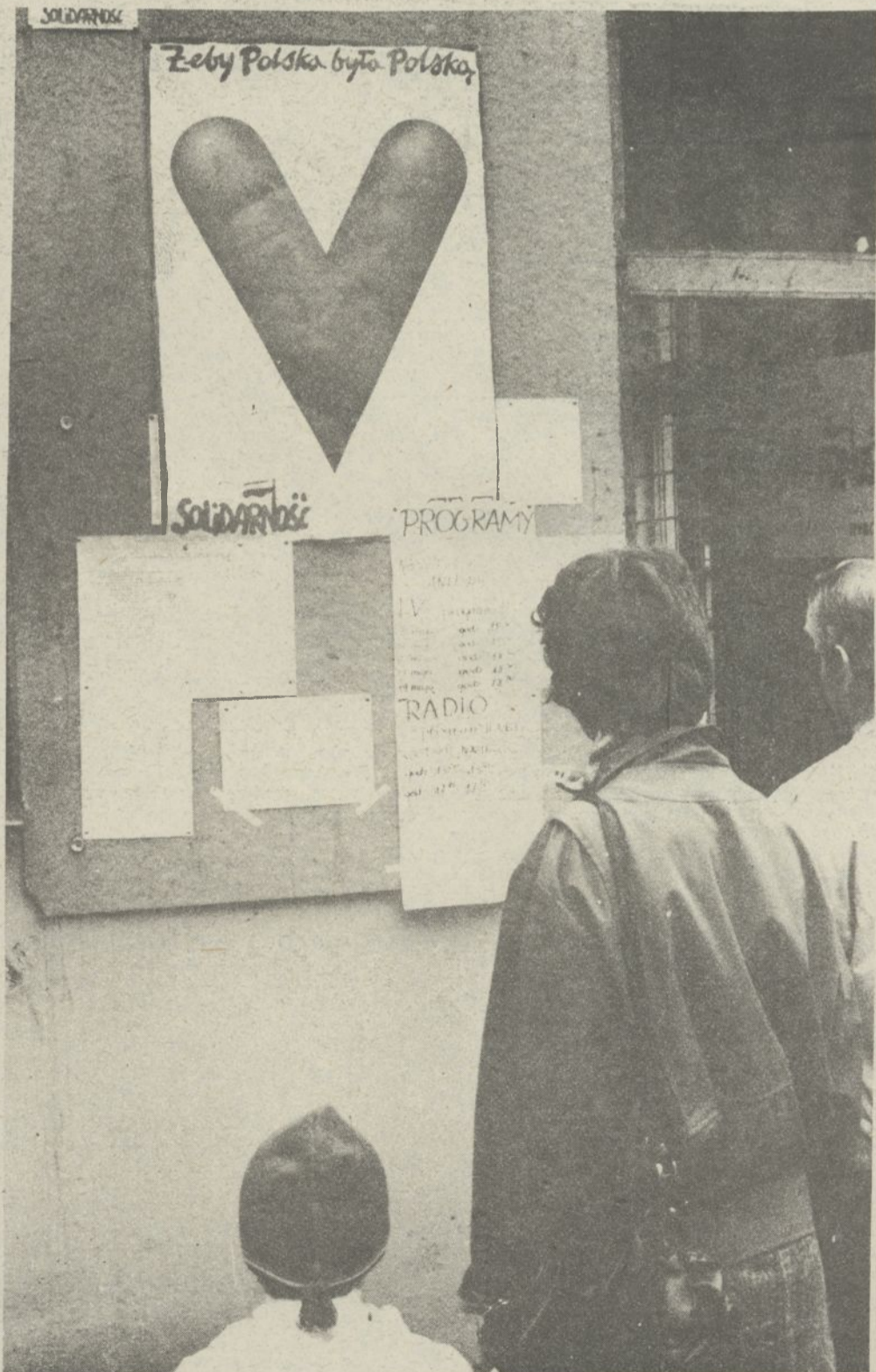
„Czasy, gdy ktoś za kogoś wygrał wybory, już minęły — mówi Ryszard Piotrowicz z Wydziału Propagandy KW PZPR — ale ludzie nie mają jeszcze tego we krwi. Czasami śmieszne z pozoru gesty, jak uściśnięcie dłoni wyborcy, mogą być skuteczne”.

„Solidarność” już w 1980 i 81 roku udowodniła, że umie organizować propagandę. Posługuje się metodą agresywną, na pograniczu show i politycznego mitingu — mówi Stanisław Ścirka, przewodniczący NSZZ Pracowników Fabryki Samochodów w Lublinie. — To ludzi przyciąga. Sądzę jednak, że w efekcie o zwycięstwie zdecydują poważne programy, a nie spektakularne gesty”.

W Słupsku w siedzibie Komitetu Obywatelskiego wykryto podsłuch, kandydatowi na posła w Piłskiem skradziono listy z podpisami. W telewizji puchnie liczba programów wyborczych. Tylko ludzie nadal nie wiedzą, jak ma wyglądać głosowanie. Ordynacji wyborczych brak w kioskach. Czy to metoda? Wiadomo już, że kartki będą w dwóch kolorach.

**AKT TRZECI:
NIEOCZEKIWANE ZWROTY**

„Wszyscy kandydaci na posłów i senatorów prowadzą swoją kam-



panię wyborczą, korzystając z przysługujących im równych praw: wolności słowa, publikacji, zgromadzeń i dostępu do państwowych środków masowego przekazu. Strony zawierające niniejsze porozumienie zobowiązują się utrzymać swoje programy wyborcze i treści głoszone w wyborczej kampanii w granicach umowy zawartej przy «okrągłym stole». Podejmą niezbędne wysiłki, aby kampania wyborcza przyczyniła się do kształtowania tolerancji, demokratycznej kultury politycznej w naszym kraju».

Ostatni kandydaci złożyli w komisjach wyborczych stosowne dokumenty za pięć dwunasta. W kilka dni potem opublikowała je prasa. Z pozoru „blokowy” charakter rywalizacji rozlał się na mozaikę bardziej kolorową, niż się spodziewano. Polityczne rozchwianie Polaków znalazło dokumentarne potwierdzenie. Czy musimy się uczyć pluralizmu? Odezwała się Unia Polityki Realnej i niezależni od „niezależnych”, misjonarze ochrony poczętego życia i indywidualni ryzykan-ci, ludzie o orientacji bardziej na lewo od lewicy i „bardziej papiescy niż papież”. Kościół mimo politycznej neutralności udzielił ambon przedwyborczym programom.

Lektura samych list mówi niewiele, wysłuchanie poszczególnych kandydatów przyprawia o zawrót głowy. W polowie mają rozlegają się głosy o przetwarzaniu wewnątrzkoalicyjnych. Głosy to anonimowe i z reguły ściśnione. W Białej Podlaskiej ulotki wyborcze przerabia się tak długo, że niemal zabraknie czasu na ich rozwieszenie. W Zamościu kandydaci rekomendowani przez KW PZPR lónią na pięknym kredowym papierze. „Samotnik” z Radzyna rysuje plakaty własnoręcznie; pomaga mu żona i kolega. Unia Chrześcijańsko-Społeczna liczy się z Komitetem Obywatelskim w kwestiach niezależności.

Właśnie po ogłoszeniu list wyborczych rozlał się stereotyp. Tylko partie polityczne koalicji (PZPR, ZSL, SD) i „Solidarność” stać będą przy nadrzędnych programach. Poza nimi zaczną wyłaniać się ludzie. Ten będzie chciał dokończyć budowę drogi w swojej gminie, inny zapagnie rzucić na forum parlamentu problem ludzi chorych na cukrzycę. Wiele indywidualnych programów razie będzie „mową trawą” i brakiem konkretów.

Toczy się nasz samochód redakcyjny po koleinach gminnych dróg, ulicami miasteczek i miast. Dla nas te wybory przybierają coraz bardziej indywidualny, konkretny wymiar. Przesuwa się przed naszymi oczami galeria postaci barwnych, gotowych do reportażu, ale i miałych, nijakich, także zagubionych. Stajemy się ludźmi najlepiej bodaj przygotowanymi do skreślenia bądź akceptacji. A wyborcy? Fragmenty ordynacji okupują przedostatnie górne rogi gazetowych kolumn.

AKT CZWARTY: POTRZEBA ROZWAGI

Rozmawiam na koniec z wyborcą. Nie z tym wyborcą i nie z jakimś wyborcą (Anglicy mają w takich przypadkach do dyspozycji przedimki „the” i „a”), lecz z Wyborcą — tak będą go właśnie tytułować.

— Tutaj gra nie toczy się jeszcze o władzę; na razie może tylko o jej przyczółki. Nie chciałbym, żeby tak na to patrzeć. W taki sposób można tylko pogubić narodową szansę. Nie powinniśmy głosować na „bloki”, tylko na konkretnych kompetentnych ludzi, ludzi zdolnych do państwowotwórczego myślenia. Marazm i beznadzieja trzymają się mocno, a demagogia uderza jeszcze mocniej. A przecież od tych wyborów zależy, czy w miarę szybko odzyskamy aktywność i wiarę. Szkoda, że są one tak pospieszne. Zachnie się pan na górnolotność tego sformułowania, ale te wybory powinna wygrać Polska.

Według redakcyjnej sondy (100 wyrywkowych telefonów do reprezentujących różne środowiska mieszkańców Lublina), około 68 proc. uprawnionych do głosowania pójdzie 4 czerwca do urn.

Wiesław Horabik

Fotografował:
Waldemar Stępień

JOANNA, studentka I roku, powiada: — Nie czytam nic oprócz tego, co muszę przygotować na zajęcia. Nie starcza mi po prostu czasu. Z literaturą piękną i czasopismami częściej miałam do czynienia w szkole średniej niż na uniwersytecie.

Studenci — przyszła inteligencja, ludzie z wyższym wykształceniem coraz częściej okazują się półanalfabetami. Brakuje im odczytania, erudycji, podstawowych wiadomości z zakresu innych dziedzin wiedzy. Ludzie ze świeżym dyplomem i tytułem: „magister” często nie potrafią poprawnie skleić kilku dłuższych zdań, wypowiedzieć się w towarzystwie na jakikolwiek temat. Czy wynika to z braku czasu na rozwijanie zainteresowań w trakcie studiów, czy z braku chęci i siły?

Nowo przyjęci „pierwszorocznicy” panicznie boją się usunięcia z uczelni. Zabiegają więc o utrzymanie się na studiach, czytając gorliwie — nie waham się użyć tego słowa — największe brednie, zadawane niekiedy na zajęcia. A jednocześnie szkoda im czasu na „glupstwa”, na przeczytanie np. najnowszej powieści znanego pisarza

Książka jest także sposobem na spędzenie wolnego czasu, bo nie wszyscy studenci, wbrew obiegowym opiniom, wyłącznie raczą się w akademikach alkoholem i oddają cielesnym uciechom. Statystycznie biorąc, co trzeci-czwarty student czyta dużo: ok. 20—40 książek rocznie. Na podstawie kart bibliotecznych można jednak „wylowić” i takich, którzy na swym koncie mają i po 100—150 pozycji przeczytanych od października po czerwiec.

— Może się to wydać nieprawdziwe, ale często uciekam od podręczników ku innym książkom — mówi kandydat na inżyniera mechanika. — Zdałem do Szkoły Morskiej, ale zdrowie mi nie pozwoliło. Morska pasja pozostała. Książki wymieniam z przyjaciółmi, także niespełnionymi „ludźmi morza”.

Dyrektor Biblioteki UMCS, Jadwiga Olczak z rezygnacją stwierdza, że nie ma takich mądrych, którzy by obdzierali każdego studenta niezbędnymi mu książkami.

Mimo licznych w Lublinie bibliotek, kilkumastotysięczna rzesza studentów ma kłopoty z wypożyczeniem do domu książek beletrystycznych. Wypożyczo-

Studenci wypożyczają w tej bibliotece także literaturę popularnonaukową, podręczniki, korzystają z czasopism fachowych („Twórczość”, „Dialog”, „Sztuka”, „Literatura”), przeglądają prasę codzienną i tygodniki. Po uszkodzonych numerach gazet można poznać, które są najbardziej zaczytywane. Kolejna podwyżka cen spowodowała, że studenci po „Politykę”, „Przegląd Tygodniowy”, „Forum” czy chociażby „Relacje” przychodzą własnie tutaj. Zresztą, gdy w promieniu kilkuset metrów nie ma jednego choćby czynnego kiosku „Ruchu”, to czy pozostaje inne wyjście?

Przed kilkoma miesiącami Zrzeszenie Studentów Polskich wyliczyło średnie koszty utrzymania słuchacza szkoły wyższej w relacji do otrzymywanego stypendium. Statystyka pokazała, że gdy kwota stypendium jest zbyt niska, student zaczyna oszczędzać nie na jedzeniu i ubraniach, lecz przede wszystkim ogranicza wydatki na kulturę. „Skreśla” kino, teatr, koncert, wydatki na książki, a szczególnie prasę. Przeciętne stypendium studenckie wynosi ok. 15—18 tys. zł. Przeciętna, wcale nie luksusowo wydana książka kosztuje 1000—1500 zł. Tygodnik — 100—120. Jasne staje się więc, jak ważna jest dla studentów możliwość bezpłatnego korzystania z różnego rodzaju wydawnictw.

Póki co, młodzi historycy i prawnicy „pożerają głodnymi oczyma” na giełdach i bazarach kuszące prohibity i wydawnictwa emigracyjne. W uczelnianych bibliotekach są one dla nich niedostępne, a chciałoby się pozyskać. Studenci Instytutu Wychowania Artystycznego wydają ostatnie złotówki na zagraniczne albumy i reprodukcje. Inni także na swój koszt skupują to, czego w bibliotekach dostać nie można.

Nie więcej jak kilka miesięcy temu pojawiło się jeszcze jedno źródło lektur: nielegalne piśmiska organizacji studenckich, głównie Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Najstarsze z nich, o rocznym bodajże stażu, wydawane jest na KUL i nosi tytuł „Zak”; na UMCS wydaje się „CURIER”, a na Akademii Medycznej (choć rzadko) „Tętno”. Okazjonalnie sprowadzane są wydawnictwa studentów Warszawy, Krakowa, Wrocławia czy Gdańska. Tematyka tych gazetek, skierowana głównie na sprawy polityczne i ich studenckie odniesienia, zdaje się budzić zainteresowanie, przynajmniej u niektórych. Wiele jest też w nich informacji ze środowiska, które w ostatnim czasie wyraźnie się ożywiło. Z gnuśnego i zasiedziałego staje się interesująca społeczność. I o tym studenci chcą czytać, a wcześniej nie spotykane „podziemne” gazetki budzą podwójną ciekawość.

Przy okazji sprzedawania „bibuły” — jak mawiają w punktach informacyjnych NZS, które działają za wiedzą i zgodą rektorów — można także zakupić wydawnictwa bezdebitowe. Ich „asortyment” jest znacznie uboższy niż w innych ośrodkach akademickich, ale i w Lublinie można skompletować małą biblioteczkę. Dominują autorzy z tzw. opozycji, wiele jest publikacji wspomnieniowych, materiałów o zacięciu naukowym i historycznym. Większość z nich po raz pierwszy leży swobodnie na uniwersyteckich stołach.

Środowisko studenckie jest zróżnicowane. Wśród kolegów z tego samego roku są ludzie o odmiennych zainteresowaniach, potrzebach i różnym poziomie intelektualnym. Zdarzają się przypadki ekstremalne jak w poniższej anegdocie.

Absolwent uniwersytetu spotkał się ze swoim promotorem. W chwili szczerości wyznał mu:

— Czy pan wie, że ja w czasie studiów nie przeczytałem ani jednego podręcznika, artykułu ze skryptu, ani żadnej innej książki? I zostałem magistrem!

Na to starszy, szpakowaty pan odrzekł, uśmiechając się pobłażliwie:

— Ja zostałem profesorem, choć też przez całe życie nie czytałem książek. Oczywiście, prócz swoich...

Autor jest dziennikarzem — studentem.

CO CZYTA STUDENT?

Marek Podgajny

czy też przejrzenie czasopism. Redukują swe lektury do minimum, ograniczając się do akademickich skryptów i podręczników. A potem, po pięciu latach studiów i mieszkania w Lublinie, magister nie wie nawet, gdzie się mieści Teatr im. Juliusza Osterwy. Po prostu nigdy tam nie był.

W miarę upływu czasu, na kolejnych latach studiów młody człowiek uczy się lawirować. Korzysta z różnorodnych „pomocy naukowych”, notulek koleżanki lub ze spuścizny wcześniejszych roczników, które wybawiają go od nieciekawych lektur i znoonej pracy. Będzie więc miał więcej wolnego czasu, ale czy wówczas nauczy się na nowo czytać klasyków, słuchać muzyki w filharmonii, przeglądać nie tylko „Kurier Lubelski” i „Przegląd Sportowy”, lecz chociażby „Kulturę”? Jeżeli tego nawyku nie wyniósł z rodzinnego domu, ze szkoły średniej, a tym bardziej ze studiów, to...

Studenci jednak czytają. Jeżeli nie wszyscy, to wielu. Jeśli nie z wewnętrznej potrzeby, to przynajmniej powodowani snobizmem i modą. Świadczą o tym liczby. Przyjmuje się, że ok. 20—25 proc. studentów nie czyta innych książek poza podręcznikami i obowiązkowymi lekturami. W tym gronie przeważają raczej przyszli medycy, pochłonięci naprawdę ciężkimi studiami. Dalsze kilkanaście procent studentów to ci, którzy z książką „do czytania” spotykają się tylko kilka razy w roku. Zastanawiające jest, że w tej grupie nie brakuje humanistów, którzy, jak by się wydawało, winni być z książką za pan brat. Są też tacy, co by chcieli więcej czytać, ale...

— Zawsze mam olbrzymie kłopoty z wypożyczeniem potrzebnych mi książek. Często z tego powodu ogarnia mnie czarna rozpacz — mówi Elżbieta, studentka filologii polskiej. — W ciągu roku muszę dotrzeć do ponad stu pozycji, a takich osób jak ja są dziesiątki, jeżeli nie więcej. Książki przywożę najczęściej z rodzinnego miasta, z tamtejszych bibliotek. Pożyczam także od znajomych, rodziny, od kogo się da. W Bibliotece Głównej UMCS i na swoim wydziale udało mi się „upolować” zaledwie kilkanaście potrzebnych mi książek w ciągu trzech lat studiowania.

ne, zdobyte, krążą z ręki do ręki, od pokoju do pokoju. Wyróżnia te książki powycierany grzbiet, zdeformowana okładka i wysłużone kartki. To one stoją najczęściej na półkach w akademickich pokojach. Ich tematyka jest najprzeróżniejsza: od sensacji i kryminału przez love story, powieści przygodowe i klasykę do parapsychologii oraz wydawnictw popularnonaukowych. Takich książek studenci najczęściej szukają.

Do filii Biblioteki im. H. Łopacińskiego, mieszczącej się w domu studentkim „Helios”, trafić trudno. Podobna biblioteka, także o mikroskopijnych wymiarach, znajduje się tylko u medyków przy ul. Chodźki. Księgozbiorem z miasteczka uniwersyteckiego opiekują się Teresa Iracka i Stanisław Gaszyński.

— Studenci teraz więcej czytają niż parę lat temu — mówi pani Teresa.

— Najczęściej pytają o autorów znanych i modnych w ostatnim czasie: Eco, Grass, Singer, Nabokov, Brodski, Lysiak, Kapuściński, to poszukiwani autorzy. Zacztywana jest „Literatura na świecie”, przynosząca wydawnicze nowinki i tytuły już nagrodzone. Także literatura ibero-amerykańska nadal modna. Czytany jest, o dziwo, Józef Ignacy Kraszewski, który może śmiało konkurować z literaturą faktu i sensacji, a polska powieść współczesna leży i tylko kurz się na niej odkłada.

W uczelniach na Zachodzie bywa, że podręczne biblioteczki są na każdym piętrze, ba, nawet w segmentach akademickich budynków mieszkalnych. I bynajmniej nie znajdują się tam wyłącznie podręczniki. Lubelski student jest pozbawiony takiego „luksusu”. W żadnym z akademików w całym Lublinie (prócz dwóch wymienionych) nie ma takiej biblioteki.

— W ciągu 188 dni — mówi T. Iracka — przez które nasza filia czynna była w 1988 roku, wypożyczyliśmy łącznie 35 089 książek. Jest to tylko znikoma część tego, czego poszukują czytelnicy. Są tacy, którzy zaglądają do nas każdego dnia, ale czasem wychodzą z pustymi rękoma. Nasze możliwości są przecież skromne.

DUCH WIELKIEGO JĘZYKOZNAWCY NADAL PATRONUJE...

SZKOŁA KONFORMIZMU

Steran Münch

PYTANIA o kondycję polskiej inteligencji, o zawodowy i materialny status absolwentów wyższych uczelni, wreszcie o etos poszczególnych grup zawodowych stawiane są dziś bardzo często. Poczyniono w tym względzie szereg zasadniczych i trafnych obserwacji. W niezadowalającym stopniu wydaje się natomiast postrzegany związek między obowiązującym sposobem kształcenia uniwersyteckiego a wyraźnie ujawnianymi postawami studentów, które określają także ich późniejsze zachowania i działania w życiu zawodowym i społecznym. Jest to w większości przypadków szkoła konformizmu, bierności i minimalizmu. Moje rozważania na temat dziedziny, którą z racji studiów i pracy znam najlepiej, można bez trudu odnieść do innych poletek naukowych. Nie piszę o żadnym konkretnym uniwersytecie, gdyż wszędzie panuje podobna sytuacja.

Pomimo kolejnych nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym, zmian regulaminów i godnej uwagi pracowitości licznie powoływanych komisji dydaktycznych i programowych, uniwersytecki model humanistyki pozostaje wciąż modelem stalinowskim, narzuconym polskim uczelniom w 1949 roku. Po czterdziestu latach wśród pracowników naukowych i studentów są tacy, którzy uważają go za całkowicie udany, prawidłowy i „jedynie słuszny”.

Przed ową szczególną reformą uniwersytety nastawiały się na rozwijanie umiejętności gamodzielnego rozwiązywania problemów przez studentów, własne badania naukowe oraz przygotowywanie wysoko kwalifikowanych specjalistów. Celem licznych wykładów monograficznych i seminariów było poszerzanie horyzontów, ukazywanie bogactwa i różnorodności dyscyplin pokrewnych, a zwłaszcza formowanie samodzielnych, poszukujących umysłów. Ten ostatni cel miał na uwadze Tadeusz Kotarbiński, pisząc o szkole jako o „stadium pochłaniania tradycji, przez które musi przechodzić umysł, chcący zostać współcześnie kompetentnym” („Przegląd Filozoficzny” 1915).

Nie istniały wtedy ostre granice między poszczególnymi dziedzinami humanistyki i dlatego intelektualści tamtej epoki studiowali prawo, filozofię i historię albo muzykologię, literaturoznawstwo i romanistykę. Było to świadectwem rozległych zainteresowań i owocowało w przyszłości podjęciem badań interdyscyplinarnych i porównawczych.

Zachęceniu przykładem profesorów, studenci mogli więc korzystać z bogatej oferty wykładów, zaś wykładowcy starali się dostosować swoje zajęcia do oczekiwań wszystkich, którzy na mocy świadomego wyboru pragnęli na nie uczęszczać. Student polonistyki mógł więc słuchać wykładów o polifonii renesansowej lub teatrze elżbietańskim, jeśli uznał to za pożyteczne. Tematy wykładów monograficznych zmieniano co roku, by uniknąć powtórzeń i zaprezentować wyniki aktualnie prowadzonych badań. Nie było zajęć kursowych — wskazywano studentom pod-

stawowe podręczniki, monografie i źródła, które powinny samodzielnie opracować zamiast wysłuchania kompilatorskiego przeważnie wykładu.

W ten sposób można było osiągnąć rzeczywistą jedność pracy badawczej i dydaktyki, traktując przy tym studentów jak dojrzałych partnerów, a nie jak wyrosnięte dzieci, posłusznie „wydające” treść uprzednio wyłożone. Oczekiwano od nich ujawnienia takich cech, jakie wyliczył Kotarbiński w „Nauce Polskiej (1929, t. XI): „zainteresowanie do pewnych problemów [...], pasja rozumowania, wstręt do nieścisłości, niejasności, niezrozumiałości [...], umiejętność długotrwałego i wytrzonego zamyślenia się nad obranym zagadnieniem, samodzielność w wyborze pytań i w pomysłach ich rozwiązania”, a także „ożywcza radość, płynąca z tego, że się robi wyjątkowo dobrze coś wyjątkowo trudnego”.

System ten miał oczywistą wadę: sprawdzał się w przypadku studentów świadomych celów swej edukacji, zdolnych do samodzielnej pracy. Na szczęście nie istniał wtedy fetysz sprawności kształcenia. Młody człowiek mógł też nie opanować umiejętności przechodzenia od prawd cząstkowych do ogólnych lub odwrotnie. Ale nawet te dwa zastrzeżenia nie są w stanie usprawiedliwić tezy, w myśl której można ustalić kanon informacji ważnych, objętych wykładem, w przeciwieństwie do nieważnych, skazanych na przemilczenie. Takie kryterium podziału nie istnieje — chyba, że podejmowanie decyzji złożone będzie w ręce władzy administracyjnej.

Widzimy więc, że dawny system uniwersyteckiego kształcenia polegał na dialogu i swobodnym przepływie idei, a nie na głoszeniu gotowej i poświadczanej urzędowym stemplem prawdy.

Stalinowska reforma z 1949 roku przyjęła całkowicie odmienną koncepcję celów nauczania. Zadaniem uniwersytetów stało się jak najszybsze wyprodukowanie starannie wyselekcjonowanej kadry do objęcia w nowo powstałym państwie tych stanowisk, które wymagały — mimo wszystko — wyższego wykształcenia, a nie tylko instynktu klasowego.

Nie bez wpływu była tu zapewne refleksja Wielkiego Językoznawcy, że inteligenci w pewien sposób też są ludźmi. Wspomniana kadra miała więc otrzymać konieczny szlif ideologiczny oraz niezbędny zespół pojęć i metod, skutecznych w ramach wąsko określonej specjalizacji zawodowej, np. instruktora ruchu młodzieżowego czy nauczyciela historii w liceum. Wykłady służyły zatem przyswojeniu sobie pewnej dawki wiedzy, którą następnie trzeba było reprodukować zgodnie z ustalonym kanonem. Samodzielne myślenie uchodziło wtedy za szczególnie niezdrowe.

W sumie nie był to program trudny ani ambitny i średnio zdolny samouk mógł go sobie przyswoić w oparciu o kilkanaście książek. Jednakże książki te, w większości napisane przed wojną, dotknęły przeto skazą „nauki burzua-

zyjnej”, nie cieszyły się, rzecz jasna, zaufaniem. Najpilniejsze i niezbędne stało się wysłuchanie wykładu — Wielkiej Syntezy, wspartej licznymi cytatami z Ojców Założycieli i wyczuwalnym imprimatur stróżów ideologicznej czystości. Brak takiego kursu mógłby wyrządzić niepowetowane szkody w umysłach studentów, gdyż alternatywę stanowiło samodzielne poszukiwanie w rozmaitych podręcznikach, także pisanych przez wrogów „wszelkiej maści”.

W owym pionierskim okresie doktryna nie rozporządzała jeszcze kanonem lektur „jedynie słusznych”, a i te istniejące oceniano w zależności od aktualnych dyspozycji ośrodka władzy. Słowo wykładowcy stawało się więc Prawdą Żywą, podaną do uwierzenia i akrypiatnie egzekwowaną na egzaminie. Takim był fundament uniwersyteckiej humanistyki.

Po śmierci Inżyniera Naszych Marzeń (jak pisał współczesny poeta) nacisk doktryny osłabł. Nie uległa jednak zachwianiu wiara w liturgiczne dostojęstwo i magiczną moc kursowego wykładu, ani też przekonanie, że możliwe jest ogórne ustalenie kanonu wiedzy, rzekomo niezbędnej dla opanowania danej dyscypliny, tej samej dla wszystkich i w każdym uniwersyteckim ośrodku.

Za tym wszystkim stał łatwo uchwytany cel edukacji od przedszkola do uniwersytetu, o którym tak pisał Jerzy Stempowski: „Zakłady naukowe zostały wprężone w mechanizm nowożytnego państwa, opartego na moralności obłożonego miastem. Wówczas wyszło z nich pokolenie technokratów, nie widzące żadnej trudności w racjonalnym zorganizowaniu narodów na wzór terminów, pod warunkiem odrzucenia wszystkich przesądów i tradycji”.

Dzięki administracyjnie usankcjonowanej parcelacji tradycyjnej humanistyki nie jest dziś możliwe wygłoszenie, oparte o badania własnych, wykładu o Rewolucji Francuskiej, na który chodziliby historycy, poloniści, romanisci i filozofowie. Zamiast niego mamy wykład kursowy z historii XVIII wieku — dla historyków, z dziejów filozofii nowożytnej — dla filozofów, z literatury Oświecenia — dla polonistów. W specjalnej sytuacji znalazły się neofilologie, prowadzące z zasady wszelkie wykłady w językach obcych, co raczej uniemożliwia korzystanie z nich przez studentów innych specjalności. A przecież dzięki kontaktowi z obcojęzyczną literaturą mogłyby odgrywać ważną rolę stymulującą.

Tylko komu dziś na tym zależy? Studentom, którzy wręcz wymuszają na wykładowcach podanie dokładnego spisu lektur i pytań egzaminacyjnych (!), jakby nie byli w stanie sami się przygotować? Wykładowcom, na ogół przywykłym już do tego, że prowadzone przez nich badania naukowe nie pozostają w uchwytym stosunku do określonej „programem” tematyki zajęć? Może uniwersyteckiej administracji, funkcjonującej w oparciu o zasadę opisaną w wierszu Adama Zagajewskiego: „Najpierw są plany, potem sprawozdania”?

Zainteresował niemal powszechny consensus dla parcelacji, schematyzmu i petyfikacji nauki, znajdujących oczywisty wyraz w corocznym powielaniu tych samych przedmiotów, tematów, lektur, interpretacji. Stan taki wydaje się zgola pożądanym dla części kadry nauczającej i studentów, wyłącza bowiem zasadę rewizyjności nauki, tłumi krytycyzm, uczy bierności i pospolitości.

Prawdopodobnie dla zaradzenia faktycznej izolacji poszczególnych sekcji (kierunków studiów) wprowadzono szereg niezbędnych rzekomo przedmiotów ogólnych, jak filozofia marksistowska, ekonomia, nauka o polityce, logika, socjologia czy pedagogika. To, co kiedyś student wybierał powodowany zainteresowaniem, stało się przymusem i niezrędko narzędziem indoktrynacji. A przecież humanista powinien mieć pojęcie o zjawiskach politycznych i społecznych, zaś przyszły nauczyciel orientować się w psychologii. Jak zarządzić coraz powszechniejszej sytuacji, gdy student ma tyle zajęć obowiązkowych, że nie starcza mu czasu na przygotowanie się do ćwiczeń, nie mówiąc już o rozwijaniu własnych zainteresowań?

Uniwersytety prowadzą wszystkie przedmioty ujęte w „siatce godzin”, a student musi na nie uczęszczać. Jeśli nawet istnieją w postaci szcztatkowej dyscypliny fakultatywne (do wyboru), to na wszelki wypadek jest ich tak mało, aby wszystkie się odbywały. Te zajęcia zaplanowano i muszą znaleźć się w sprawozdaniu. Zresztą słuchaczy można podzielić ogólnie na stosowne grupy.

Przymus przedmiotowy, narzucony studentom, odpowiada przymusowi pracy naukowej, jakiemu podlegają wykładowcy. Kiedyś co roku należało wprowadzić nowy temat, związany z prowadzonymi właśnie badaniami. Obecnie do badań tych stymuluje nierzadko termin oddania pracy doktorskiej czy habilitacyjnej, kolejna akcja oceniająca w rodzaju osławionego „przeglądu adiunktów” czy wszechobecna sprawozdawczość.

Skoro udało się pokrótce opisać symptomy choroby, trzeba pomyśleć nad terapią. Niezbędne jest stworzenie sytuacji, w której student uzyska możliwość poszerzenia wiedzy w obranym kierunku, także i poza granice obranej dyscypliny. Musi istnieć szansa wyboru pomiędzy różnymi tematami monograficznymi, z których jedne będą miały wzięcie, a inne nie. Rozmaitość problemów, stylów interpretacji, metod badawczych byłaby gwarancją zainteresowania słuchaczy. Może wtedy okaże się niepotrzebne administracyjne „przypisanie” studentów do określonych zajęć czy sporzadzanie list obecności na wykładzie (kursowym) pod rygorem nieudzielenia podpisu. Nikt rozsądny nie przypuszcza chyba, że znikoma frekwencja na zajęciach jest efektem typowego rzekomo lenistwa studentów, a popularności niektórych przedmiotów wymyka li tylko z nadzwyczaj liberalnego podejścia asystenta?

Z pewnością trzeba by zmienić gruntownie regulaminy studiów i przeobrazić skosnialy, biurokratyczny system zarządzania nauką z „rozliczaniem godzin” na czele. Nie będą to jednak zmiany postępujące szybko.

Czy w ogóle do nich dojdzie? Opisana sytuacja przez czterdzieści lat nie budziła gwałtowniejszych sprzeciwów, a duch Wielkiego Językoznawcy nadal patronuje działaniom uniwersyteckich humanistów. Witkacowski „pigulki Murti-Binga” mają przecież długi okres działania. A poza tym — tak jest wygodnie.

LISTY-POLEMIKI

Ciąg dalszy ze str. 7

hitlerowcy spędzają wszystkich mieszkańców wioski pod cmentarz, gdzie oddzielają mężczyzn od kobiet oraz dzieci i tych pierwszych wywożą do obozu przejściowego w Budzynie. Tam niektórzy ponoszą śmierć, część ucieka w dalszej drodze z transportu, część zostaje wywieziona do Niemiec i Włoch. Niektórzy ranni podczas ucieczki, ponieważ hitlerowcy utworzyli ogień z broni maszynowej, są kalekami do dziś;

3) 2 lutego 1944 r. oddziały SS i gestapo organizują najokrutniejszą dla mieszkańców Borowa pacyfikację. Podobnie jak w Michniowie w woj. kielec-

kim. Okrążają wieś. Kto nie zdążył uciec przed zamknięciem pierścienia, został zamordowany i spalony. Wioskę doszczętnie spalono. Hitlerowcy w bestialski sposób zamordowali wtedy 168 osób, przeważnie kobiety i dzieci. Pozostali przy życiu mieszkańcy Borowa doznali po wojnie, jak na ironię, wiele upokorzeń, ale to już inne zagadnienie.

Nasuwa się pytanie, dlaczego anonimowy czytelnik „Relacji” napisał fałszywie lekką ręką, że wydarzenie tamto miało miejsce w miejscowości Borów. A jak ta prawda wygląda? 9 sierpnia 1943 r. został wymordowany w lesie, w miejscu odległym od Borowa o trzy kilometry, oddział GL im. Kilińskiego, a nie AL, jak pisze anonimowy czytelnik. AL w tym czasie nie istniała. Powołana została do życia przez KRN dopiero 31 grudnia 1943 roku. Również nieścisłe podana

jest liczba wymordowanych osób. W książce pt. „Wspomnienia żołnierzy GL i AL” wydanej w 1962 roku liczba ta wynosi 26, natomiast w Malej Encyklopedii 27 osób, a nie 30, jak podaje czytelnik. Dla uściślenia — wydarzenie to miało miejsce w powiecie krańickim, a nie tarnobrzeskim.

I jeszcze jedna uwaga. Czy to wydarzenie w lesie w pobliżu Borowa, a raczej miejscowości Wólka, bo do niej jest znacznie bliżej, można nazwać „białą plamą”. Jest to co prawda wydarzenie, które nie przynosi nam, Polakom, sławy i chwaty za takie czyny. Mieszkańcy Borowa potępili ten akt podstępnej przemocy z chwilą, gdy wieść ta do nich dotarła, ponieważ wśród pomordowanych byli także ich znajomi z sąsiednich wiosek. Uważali, że wszystkie siły należy skierować do walki z okupantem.

Osobiscie uważam, że „białe plamy”

to historyczne wydarzenia z okresu ostatniej wojny i tuż po jej zakończeniu, jakie miały miejsce w tragicznym życiu naszego narodu w kraju i poza jego granicami, a które nie zostały oficjalnie ujawnione przez historię, jak Katyń, lagry na terenie ZSRR czy obóz karny zorganizowany przez NKWD w 1944 roku w Błudku koło Susza itp. Natomiast o losie gwardzistów w lesie między Borowem a Wólką wiedzieli całe społeczeństwo. Podają o tym źródła historyczne. Po wojnie wniesiono w tym miejscu pomnik dla uczczenia ich pamięci. Co roku odbywają się uroczystości, podobnie jak na Porytowym Wzgórzu czy pod Osuchami.

Stanisław Błażejowski
Biłgoraj

Dokończenie na str. 13

WSRÓD licznych gazet i pism żołnierskich, wydawanych często własnym, sumptem przez poszczególne oddziały Armii Polskiej w ZSRR, a następnie 2. Korpusu Polskiego, na uwagę zasługuje „Sitwa”. Była ona pismem batalionu „Rysiów” z 5 Dywizji Piechoty. Później, po powstaniu 2 korpusu, batalion ten wszedł w skład 5 Wileńskiej Brygady Piechoty.

„Sitwa” narodziła się w Tatiszczewie jako pismo obozowe. Jego twórcą był podchorąży R. Kopeć. W założeniu „Sitwa” była miesięcznikiem. Z braku maszyn drukarskich, ba, nawet maszyn do pisania, w mieszczącej się pod namiotem lub w ziemiance „redakcji” — „Sitwa” była przepisywana ręcznie, w niewielkiej liczbie egzemplarzy. Starannie kaligrafowane teksty, piękne, zdobione inicjały, rysunki i ilustracje w tekście przywoływały na myśl średniowieczne inkunabuly. Pismo miało charakter informacyjny, ale wiele miejsca zajmowały w nim

„SITWA” O MONTE CASSINO

wiersze, opowiadania obozowe lub — w późniejszym okresie — frontowe relacje, których autorami byli poeci, prozaicy i dziennikarze w mundurach.

Tytuł miesięcznika, czerpiący ze słownictwa legionowego, oznaczał zżyta, przyjacielską grupę. (Dopiero w dwudziestolecie międzywojennym określenie „sitwa” nabrało pejoratywnego charakteru; złośliwie określano tym mianem popierających się wzajemnie legionistów-kombatantów).

Po przeniesieniu się wojska polskiego na Bliski Wschód „Sitwa” stała się pismem drukowanym. Nad jej szatą graficzną czuwał artysta malarz Karol Badura, który na la-

mach „Sitwy” zamieszczał także swoje rysunki i grafiki.

Od 1943 roku pismo otrzymało format broszurowy i stało się wydawnictwem nieregularnym. Od 1943 roku do roku 1949 (kiedy „Sitwa” przestała się ostatecznie ukazywać) wydano tylko cztery zeszyty. Zeszyt 1. wyszedł w 1943 roku w Palestynie; zeszyt 2. (z podtytułem: „Wydawnictwo Wileńskiej Brygady »Żubrów«”) wydano w Rzymie; zeszyt 3. wydano także w Rzymie w 1946 roku (przy pomocy Oddziału Kultury i Pracy 2 Korpusu), a numer 4. dopiero w trzy lata później, już w Londynie. Ten ostatni numer „Sitwy” nosił podtytuł: „Zgrupowanie 5 Wileńskiej

Brygady Piechoty »Żubrów«, 5 Kresowej Dywizji”.

Wydawcami i redaktorami pisma byli: R. Kopeć, Mieczysław Stryk, Eugeniusz Królikowski. Kolegium wydawniczym przewodniczył Wacław Jacyna.

W okresie pobytu 2 Korpusu na Bliskim Wschodzie, a następnie w Italii, aktywnym współpracownikiem „Sitwy” był młody, niewiele ponad dwadzieścia lat liczący, podchorąży Artur Międzyrzecki.

Znany obecnie polski poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki i tłumacz, autor m. in. „Opowieści mieszkańca namiotów” (W-wa 1957) i „Powrotu do Sorrento” (W-wa

1958), debiutował jako poeta w prasie wojskowej na Bliskim Wschodzie w 1944 roku ukazując się jako pierwszy tomiści wierszy — „Namiot z Kanady”, opatrzony wstępem napisanym przez płk. Kamińskiego.

W 2. zeszycie „Sitwy”, który ukazał się we wrześniu 1944 roku i zawierał liczne teksty poświęcone walkom o Monte Cassino, znalazło się m. in. kilka wierszy Artura Międzyrzeckiego.

WCZTERDZIESTA piątą rocznicę bitwy o Górę Klasztorną zamieszczamy kilka pozycji z tamtego, zupełnie unikalnego już zeszytu: fragment większego utworu poetyckiego Artura Międzyrzeckiego, zatytułowanego „Monte Cassino”, i jego wiersz „Cavendish Road” oraz wspomnienie napisane przez podchorążego Lucjana Mościckiego — „Walka o życie pod Cassino”

Mirosław Dorecki

Artur Międzyrzecki

MONTE CASSINO

Przed długim frontem kompanii czytano rozkaz. W mroku dzwoniła cisza w szeregach wojska. Później, gdy oddział się rozszedł,

ktos płacem przebiegał, Rakieta złotym warkoczem spłynęła niebem — I w kancelarii czujnym namiocie, ze zmierzchem, Ostro warknął telefon. Przyjęto depezę.

W lesie śpiewały słowiki i grały świerszcze, Drzewa były zielone i liście szumiały. Nastroj nadciągnął figlarnie młodzieńczym

wierszem, Lecz słowa wojna zakryła siatką, spłowiła. Kwitły maki czerwone w kotlinie, na łące. Za muslinem wietrznym bzyknął trzmiel i zapadł. W lepki powiew południa, w złotych plamach słońca Szedł maj przez opar winnic i lip senny zapach.

Wieczór nadciągał milczeniem zjeżonym w gardziel wawozu z zadymionych gór. Ktoś spieszenie sprawdzał naboje Thompsona. ...O jedenastej rozpoczął się szturm.

CAVENDISH ROAD

Droga się zwęża. Groza pęcznieje i rośnie. Od bunkrów mogił saperskich — śmierci niepokój. Przy trakcie maki wyrzekły strofę o wiosnie, Aż pocisk rozprysł się w skale, w przydrożnym stoku.

Tutaj maszyny przystają. Dalej już zbrojny Człowiek tę przestrzeń zdobywać może struchlałą. Trawo, trawo wezbrana. Krnąbrny szlaku wojny. Błysnęło chichotem świstu, trupem powiało.

Oto CAVENDISH ROAD. Cielska spalonych czołgów Rozwarły czeluszę wewnątrz czarnych na twarde szczyty. Idziemy, duchy Warszawy, cienie znad Wołgi W dymiący płomień odwetu, ku sercu bitwy. W zamęcie spraw zawiślanych w dróg labiryntach To pozostało nam tylko: do końca bić się.

Lucjan Mościcki

WALKA O ŻYCIE POD CASSINO

PEDZILIY bantamy sanitarne przez Inferno Track, wioząc sprzęt, sanitariuszy i lekarzy. Chrząścili siałki pod kołami, oczy kierowców wdzierały się w ciemne czeluści piekielnego wawozu, pełnego karkołomnych zakrętów i zacięzionych pętlic. Wreszcie kolumna zjeżdżała w dolinę, na której krańcu widniało pasmo wzgórz, z odcinającym się na tle nieba, słynnym z uporczywej obrony klasztorem Monte Cassino. Kierowcy zdawają szybkość — kolumna mknie wprost w kierunku wzgórz klasztorne, skręca w prawo i pod okiem nieprzyjaciela poczyna wspinać się wzdłuż Cavendish Road. Ciężko dyżymotory; droga osiąga niekiedy 50 proc. pochyłości.

Wreszcie wychylamy się na maleńką płaszczyznę zwaną „Zbikiem”. Tu, na lekkim wzniesieniu odległym o 200 m od pierwszej linii widnieje biały domek. W nim — dowódca plutonu, por. lek. G. postanowił rozwinąć Lekką Sekcję kompanii sanitarną. W mig znieśli sprzęt. Uścisk dłoni... Szczęść Boże...!

Nazajutrz nieprzyjaciel położył ogień moździerzy na m.p. Lekkiej Sekcji. Posypały się gruzi, przykryły część sprzętu. Sekcja przenosi się do groty w górze Castiglione. [...] Może (ona) pomieścić dwu rannych i co najwyżej (dwóch) lekarzy. Obsługa rozmieściła się obok, w krzakach. [...]

Następna placówka sanitarna mieści się w dolinie w odległości niespełna jednego kilometra od Góry Klasztornej. Z dala widniał tam znak Czerwonego Krzyża na dachu odosobnionego budynku. Wróg miał tam idealny wgląd. Mówiono, że widzi nawet, co chłopcy niosą w menażkach. Jedyną Konwencją Genewską chroniła budynek od roztrząskania; zresztą Niemcy, bojąc się o własne punkty sanitarne, szanowali umowy międzynarodowe dotyczące Czerwonego Krzyża.

Był to Wysunięty Punkt Opatrunkowy, tzw. WPO, ppor. lek. P., gdzie znajdował się zastępca Szefa Służby Zdrowia dywizji, kpt. S. Tu również była stacja bantamów (terenowych „łazików” — przyp. M. D.), specjalnie przystosowanych do służby sanitarnej. Zadaniem plutonu bantamów była ewakuacja rannych z Lekkiej Sekcji do WPO. Wreszcie stało tu skoncentrowanych około dwudziestu sanitarek, przeznaczonych do przewozu rannych z m.p. tego punktu do Głównego Punktu Opatrunkowego (GPO), u wejścia do Inferno.

[...] Wreszcie zaczęło się. Błysnął horyzont od strony piekielnego wawozu, zawtórował mu huk tysiąca dział. [...] Ziemia dudniła i jęczała; to czołgi wchodziły na górę. Szare cielska Shermanów podnosiły swe dzioby, wspinały się miarowo, potężnie... Świece dymne pochłaniały z wolna przestrzeń...

[...] Dzieło śmierci i zniszczenia rozpoczęło. Kolumna bantamów sanitarnych z rozwiniętymi chorągiewkami Czerwonego Krzyża pnie się pod górę. A po Cavendish Road, owej Drodze Polskich Saperów „tam gdzieś we Włoszech”, poczynają rozlegać się głosy: „Sanitariusz!... Sanitariusz!” To żelazo rozrywa ciało ludzkie. Jesteśmy tu... Idziemy... Bo jechać dalej nie można. Czołgi stanęły. Kierowcy przytuleni do skarpy posuwają się ku przodowi, chwytają rannych na plecy, składają na nosze bantamów. Nikt o nic nie pytał.

Lekka Sekcja

Zbliżał się ranek; strumień rannych z linii wzmagał się. Praca na Lekkiej Sekcji wrzała. Kierowcy sanitarek, sanitariuszy [...] sunęły w ogniu moździerzy spokojnie i majestatycznie. [...] Składano rannych w grocie, a dalej chwytali ich ręce lekarzy.

Oto przed chwilą przynieśli ranego piechura, nieprzytomnego, prawie bez tętna, niemal zimnego. Dwu lekarzy bierze go w opiekę. [...] Jeden chwytą za aparat transfuzyjny, drugi daje serię zastrzyków, sanitariusz przygotowuje termofory... I oto po dwugodzinnym zabiegu, po zbawczej plazmie, po ciepłych okładach chory drgnął, otworzył oczy. Lekarze uśmiechają się. Jedno życie uratowane. [...]

W drodze do WPO

Opatrzonych układano w szereg w schronie i następna partia noszowych dźwigała ich do bantamów czekających u wylotu drogi na „Zbiku”. Odległość niewielka. [...] Niosą rannych powoli, droga kamienista, nierówna... Obok padają pociski... Ściągną przyczepów mięśni trzeszcza, palce obejmujące rączki noszą odmawiają posłuszeństwa... Ostrożnie składają rannych na ziemi, ocierają pot z czoła. I dalej... byle do bantamów...! Ciężej ranni jęczą, niektórzy rzeżą; lżej ranni rozglądają się, jakby się dziwią, że to ich niosą.

Po załadowaniu i przywiązaniu rannych pasami do noszy kolumna bantamów rusza. Jechać trzeba powoli. Kierowca ani drgnął, gdy spadła stracona odłamkiem chorągiewka z jego wozu. A na Cavendish Road wróg kierował skoncentrowany ogień. Pociski leciały tuż, tuż lub co gorzej, towarzyszyły nieraz jadącym przez całe drogi; tak, że ranni często chcieli uciekać z bantamów...

Na WPO noszowi natychmiast zdejmują rannych, znosząc ich na sale opatrunkowe. Tu już więcej miejsca. Do każdego z rannych, ułożonych rzędem, podchodzi lekarz. Wnet chory jest zbadany i zaopatrzony. Ciężej ranni otrzymują transfuzję plazmy lub krwi. [...] Lżej ranni dostają poza pomocą lekarską — kakao, kawę, rum.

Lekarze pracują bez przerwy. Dogląda pracy osobiście dowódca kompanii sanitarnej, kpt. H. Pamięta o wszystkim, wciąż jeździ do Lekkiej Sekcji, sam wozi leki, zaopatrzenie i żywność.

GPO

Z WPO ranni odjeżdżają sanitarkami do Głównego Punktu Opatrunkowego. Droga jest ciężka. W nocy kierowca posuwa się wolniutko, w ślad za swym pomocnikiem, który z białym ręcznikiem na plecach kroczy przed sanitarką. Wawóz jest systematycznie ostrzeliwany przez dalekonośną artylerię.

Po przybyciu do GPO ranny przechodzi w ręce lekarzy specjalistów. Ci decydują, czy jego stan nie wymaga natychmiastowej pomocy chirurgicznej. O ile tak, to rannych przenosi się natychmiast na salę operacyjną i — po upływie pół godziny lub po kilku godzinach — operowany wędruje na Izbę Chorych. [...]

Lekarze pracują bez snu. Chcieliby operować wszystkich, ale to niemożliwe...

Ranni, których stan na to pozwala, po ostatecznym zaopatrzeniu i mozołnym pytaniu ich o dane personalne i okoliczności, jakiej towarzyszyło zranieniu, przechodzą na Izbę Ewakuacyjną, gdzie uwiłają się kantyniarki z papierosami oraz wszelkimi napojami i wiktualiami. „Medical comfort” — rzecz przewidziana dla wyczerpanych i spragnionych rannych. Tu dowiadują się oni, że odjeżdżają na dalsze leczenie do Sanitarnego Ośrodka Ewakuacyjnego (CCS).

Lecz nie wszystkich, niestety, rannych można ewakuować na dalsze leczenie szpitalne... Śmierć czasem silniejsza jest od ludzkiej przemyślności i znajomości kunsztu lekarskiego.

I oto, po przebyciu już przez najgorsze terminy i okoliczności walki, ranni oddają ducha. A nad nimi stoi kapłan; wojskowy kapłan, udzielając Ostatnich Sakramentów...

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1896 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znaczącej części dokumentem i opoką stalinowskich łagrów, jest nierzadką barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie frontu wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojska, Inżynierii i Medycyny” — owych wspomnień plananych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera i Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 1 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszka w swym ducianku małżeństwo odnośnie do rodzinnego regionu. Płynie też o ludzich i lubelskich wal, miasteczek i miast, których opisał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Kalm.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński *Córce mojej poświęcam*

Tatisczewo,
15 stycznia 1942 r.

Ze środkowej Rosji, z okolic Saratowa, przenosimy się obozem wojskowym na południe Związku Sowieckiego, do nowej siedziby 5 Dywizji Piechoty. Właśnie ruszają ze stacji w Tatisczewie pierwsze transporty kolejowe z wojskiem. Dywizja ma być przerzucona na południe dwudziestoma transportami. Nasza Izba Chorych pojedzie w transporcie ostatnim; termin odjazdu — 8 lutego.

Wiadomości z frontu są niezbyt optymistyczne. Niemcy zajmują coraz to nowe tereny, zbliżając się do okolic, gdzie stacjonuje nasza dywizja. Przygotowanie się dywizji do zaprawy wojennej staje się przez to coraz trudniejsze.

Od dłuższego czasu słychać było głosy, że będziemy użyci do walk z Niemcami na froncie zachodnim [radziecko-niemieckim — przyp. M. D.]. Nikt z nas nie chciał ten wierzyc. Uważaliśmy, że walczyć będziemy, ale nie przy boku bolszewików, niedawnych naszych wrogów, którzy w najokropniejszy sposób starali się dotychczas zniszczyć Polaków w więzieniach czy obozach przymusowej pracy. Teraz słodko się uśmiechali, podkreślając wysoką sprawność naszej dywizji, którą podziwiali na ćwiczeniach i manewrach zimowych.

Oczywiście, chcemy i będziemy walczyć z Niemcami, bo tylko walką możemy wywalczyć niepodległość i niezawisłość naszej Ojczyzny. Ale — mówiono w obozie — „przecież generał Sikorski nie pozwoli na to, żeby żołnierz odrodzonej armii bił się za rzeczy bolszewickie...”

Te wszystkie problemy odsunął definitywny rozkaz Naczelnego Wodza o ewakuacji na południe Związku Sowieckiego. Dywizja i cała nasza armia sposobie się będzie do walk, jakiego jacy w przyszłości czekają, w dużo lepszych niż tutaj warunkach.

Ładują się do transportów kolejowych bataliony. My też już zaczynamy powoli pakować nasz sprzęt medyczny i nasz skromny dobytek osobisty.

Tatisczewo,
16 lutego 1942 r.
(w wagonie kolejowym).

Transport nr 20 miał odejść ze stacji kolejowej Tatisczewo 8 lutego. Spakowaliśmy w odpowiednim czasie cały Ambulans Centralny 5 DP w skrzynie, i sankami przewoziliśmy go na dworzec. Mróz dochodził, tak jak i dzisiaj, do 40 stopni poniżej zera.

Nie było się co spieszyć, bo okazało się, że musimy czekać jeszcze na stacji dwa dni. Transport nie odszedł w zaplanowanym terminie. Zestaw pociągu, który był przeznaczony dla nas, bolszewicy zabrali dla siebie. Dopiero dzisiaj rano zaczęli podstawić wagony, do których natychmiast zaczęliśmy się ładować. W południe załadunek był już ukończony. O trzynastej dano sygnał do odjazdu i nareszcie — ruszyliśmy.

Zegnamy Tatisczewo, gdzie przebyliśmy pierwsze miesiące w naszym Wojsku Polskim. Tu, w tym obozie, czuliśmy się tak, jak byśmy byli na własnej ziemi, mimo że wokół bolszewicy... Mamy to skrętek ziemi — Tatisczewo, lecz była tu Nasza Polska...

Przez kilka miesięcy ścigali tu Polacy. Choć niektórzy z nich, po przybyciu do obozu w bardzo ciężkim stanie, złożyli tu swe skolatanne ciała, tu — na miejscowym cmentarzu, to wiem dobrze, że umierali z myślą, iż umierają na własnej ziemi, między swoimi.

Pozostawiamy w Tatisczewie po sobie dużo miłych wspomnień wśród miejscowej ludności. Towarzyszyły nam na odjeździe serdeczne życzenia tujejszych ludzi, abyśmy w niedługim czasie mogli stąpać po prawdziwie polskiej ziemi. Sypały się na pożegnanie słowa: „Do swidanija!”, „Nie zabudtie nas!” „Pocziwi i solidni ci ludzie rosyjscy z Tatisczewa.”

Minęliśmy ostatni semafor. Patrzyliśmy, jak coraz bardziej maleje w dali nas obóz i stacja kolejowa... Wieczorem zaczęliśmy dojeżdżać do Saratowa.

W transporcie wojskowym,
18 lutego 1942 r.

Na zewnątrz mróz i silny wiatr. Załadowani do towarowych wagonów, jedziemy od ponad tygodnia dniem i nocą na południe. Nocą z 10 na 11 lutego przekroczyliśmy Wołę. Pociąg pędził przez stacje kolejowe — Engels, Urbach i wiele innych, których nazw nie zdolałem zapisać. W dwa dni później minęliśmy na stacji Uralsk granicę pomiędzy Europą i Azją. Jadąc już poprzez Azję, mijaliśmy Ileck, Aktiubińsk, Kandagacz, Ber Czogur, Aralsk — położony nad Morzem Aralskim — aż dojechalśmy do Kazaliska.

Podczas podróży z Tatisczewa do Kazaliska krajobraz właściwie się nie zmienił; ziemia pokryta była grubym całunem śniegu, przy dużym mrozie i zadymkach. Dopiero w Kazalisku odczuliśmy po raz pierwszy powiew ciepła; można było otworzyć wagony.

W Kazalisku oddaliśmy trzech chorych podejrzanych o tyfus. Cały transport, wraz z obsługą, został natychmiast wykąpany i wydezynfekowany w łaźni i odwieszalni przy stacji kolejowej. Po sutym obiedzie (pierwszy raz od czasu wyjazdu z Tatisczewa) w pobliskiej stołówce kolejowej, zaczęliśmy się przygotowywać do dalszej drogi. A byliśmy już w strachu, że cały nasz transport zostanie zatrzymany na kontumacji. Takiego zdania byli lekarze dowódcy. Ale po przeprowadzeniu dezynfekcji wszystkich wagonów udało się kierownictwu transportu uzyskać zgodę na odjazd.

[Późniejszy dopisek w dzienniku:]
Spośród tych trzech chorych na tyfus dwóch dotarło do nas po wyzdrowieniu w miesiąc później, a trzeci, sierż. Stasiak, niestety, zmarł.

Na każdej stacji, na której się zatrzymywaliśmy, dołączała do naszego transportu ludność cywilna, która masami gromadzi się wzdłuż tras kole-

owych, oczekując możliwości przemieszczenia się z miejsca na miejsce. Wiadomo — wojna. Pociągi oddane są przede wszystkim na potrzeby wojska, dla przewozu dostaw frontowych i ewakuacji rannych, a dla ludności cywilnej miejsc brak. Więc dworce oblegane są tysiącami przez uchodźców wojennych, oczekujących na jakąkolwiek możliwość podróży. A dodatkowo jeszcze — pełno na dworcach Polaków, którzy na podstawie amnestii, uzyskanej po układzie Stalin — Sikorski, przenoszą się masowo z okręgów północnych do południowych.

Właśnie podczas postoju na stacji Kazalisk przyjeżdżamy do naszego transportu rodzinę Hawryluka, gajowego z Nieświeża, która ze zsyłki na północy usiłuje dostać się do ośrodków polskich, gdzie tworzy się Armia Polska.

Smutny widok przedstawiali ci Hawrylukowie. Właściwie cała „rodzina” to był tylko stary Hawryluk i jego mały syn Oleś. Wymęczona twarz mówiła bez słów o ich przeżyciach w archangielskich łagrach. Jedno dziecko zmarło w drodze; żonę, już umierającą, musiał Hawryluk pozostawić na dworcu; a sam z Olesiem — aby ratować go przed nasilającą się chorobą — ruszył dalej na południe.

Hawryluka wpuszczono do jednego z wagonów, a Olesia, w stanie bardzo ciężkim, przyjęliśmy na Izbę Chorych zainstalowaną w innym wagonie.

Mały Oleś ma jedenaście lat. Jest wynędzniały, wychudzony, wygląda jak szkielet. Zeschnięte ciało zmniejszyło postać jedenastoletniego chłopca do rozmiarów małego dziecka.

Trzeba to dziecko ratować. A tymczasem pociąg od Kazaliska pędzi z największą, na jaką go stać, szybkością, bo jest właśnie na jedynym na trasie odcinku jednotorowym i nie może wypaść z rozkładu, aby nie zablokować transportów zdążających z przeciwnej strony.

Doktor Mieczysław Zasławski ze szpitala w Druji i podoficer sanitarny Franciszek Rezler ze śremskiego dają z siebie wszystko, aby utrzymać przy życiu małego Olesia. Nie szczędzą niczego, co jest w ich możliwościach i rozporządzeniu w ambulatorium. I tak, walcząc o życie dziecka, jedziemy z łoskotem przez Kazachstan ku odległej stacji Ksył Orda...

Kilka godzin wysiłków. Zastrzyki z soli fizjologicznej nie pomagają. Zbyt wycieńczony jest organizm Olesia, aby jakikolwiek środek medyczny coś zdziałał. Oleś gaśnie w oczach. Ma coraz słabszy puls. Pociąg stuka rytmicznie na złączach szyn, a puls dziecka działać przestaje.

Nie odzyskawszy od południa do wieczora przytomności, mały pacjent prowizorycznego szpitala w pociągu zakończył swój żywot.

Lekarz zawiadomił kierownictwo transportu i władze kolejowe (gdy pociąg przystanął na chwilę na jakiejś stacyjce, aby przepuścić transport idący z przeciwną) że mamy w wagonie zmarłego, którego należy zabrać. Oświadczono, że będzie to możliwe dopiero na stacji kolejowej Dzusaly, gdzie jest punkt lekarski, który m. in. załatwia takie właśnie sprawy.

Trupek dziecka, przebrany, owinięty całunem z ambulatoryjnego przecieradła, leży przez kilka godzin na wagonowej przyczynie...

Wreszcie, gdzieś około północy 18 lutego, pociąg nasz wjeżdża na stację Dzusaly.

Zawiadomiony o śmierci ojciec wziął syna na ręce, aby go odnieść do trupiarni przy dworcu. Ale w tym momencie podeszło dwóch miejscowych sanitariuszy z noszami. Przełożył więc Hawryluk ciało swego dziecka na nosze i ze ściśniętym sercem pożegnał trzecią ofiarę śmierci w swojej rodzinie.

Tak oto zgasło młode życie na rozstaju drogi, w dalekim od kraju ojczystego Kazachstanie...

Ojciec może nawet pamiętać nie będzie, jak się to miejsce nazywa. Postanowiłem więc zanotować w swoim dzienniku:

Aleksander Hawryluk, 11 lat mający, pochowany 19 lutego 1942 roku w miejscowości Dzusaly, w Kazachstanie.

Stacja kolejowa Ksył Orda,
20 lutego 1942 r.

Po krótkim postoju na stacji Dzusaly ruszyliśmy w dalszą drogę, i dzisiaj o godzinie 16.00 dojechalśmy do stacji węzłowej Ksył Orda. Zatrzymaliśmy się tutaj na dłużej. Wokół stacji — małe budynki, w niczym nie przypominające dotąd nam znanych domów mieszkalnych. Zbudowane z gliny, z płaskimi dachami, wyglądają jak jakieś pudeleczka.

Po raz pierwszy nasz transport mógł się zaopatrzyć w Ksył Orda w większe ilości wódki, dostarczonej przez tubylców, Kazachów, za gotówkę, a najchętniej — w drodze wymiany za „czaj”, którego mieliśmy pod dostatkiem.

W każdym wagonie odbywa się teraz popijochy. Wydaje się chwilami, że cały pociąg jest „pod gazem”. W obawie, by któryś z bardziej dokładnie „zagazowanych” nie wypadł z wagonu i nie został na stacji, przedsięwzięto szczególne środki ostrożności. Wzdłuż pociągu krąży specjalne patroły, pojawiają się także co pewien czas szef naszego sztabu, pułkownik Berling, ubrany w sowiecką futajkę.

Ruszący wreszcie z Ksył Orda, upojeni widokiem miasta, jego mieszkańców, jego pięknych, jak sądzimy (bo zawaolowanych), Ksył-Ordanek. A tak naprawdę to upojeni... „spirtem”.

Działal Abad,
22 lutego 1942 r.

Po opuszczeniu Ksył Orda mijaliśmy kolejne stacje: Turkiestan, Aryst, wieczorem około godz. 21.00 dojechalśmy do stacji Taszkient. Samego miasta nie widzieliśmy, bo było już ciemno, tylko luno światła bijące nad ulicami i domami. Wtajemniczeni mówili, że jest to duże i piękne na swój sposób miasto.

21 lutego, po dotarciu do stacji kolejowej Urzatiwskaja, pociąg nasz skierował się ku wschodowi. Wjechalśmy w słynną Dolinę Fergańską. Byliśmy już w krainie Uzbeków i Kirgizów.

Tor kolejowy biegł wzdłuż Kanalu Fergańskiego. Migaly w przelocie przed rozsuniętymi drzwiami towarowych wagonów stacje: Kokand, Margilond, Fergana, Andizan. Linia kolejowa przebijała się przez skaliste góry, wijąc się serpentynami po zboczach, coraz wyżej i wyżej.

Na wszystkich mijanych stacjach Uzbekistanu — nasze poczeiwe, polskie wagony osobowe z dyrekcji lwowskiej i stanisławowskiej PKP! Słyszałem, że bolszewicy dostali rozkaz skoncentrowania tutaj właśnie naszego taboru kolejowego, zabranego do niewoli w 1939 r. Smutny przedstawiają widok te pobite, porysowane wagony; szczątek pięknego niegdyś, we wrześniu 1939 r., taboru...

O godzinie 8 rano w dniu dzisiejszym transport nasz wtoczył się na stację kolejową z tablicą obwieszczenia cyrylicą i literami łacińskimi: „D Z A Ł A Ł - A B A D”.

Oto cel naszej podróży. Dzięki Bogu. Chwała Panu!

O dziewiątej przyszedł rozkaz wyładowywania. Ruch, hałas i zgiełk; pułkowiec cały długi pociąg. Zabieramy wszystko to, cośmy przed kilkunastoma dniami ładowali w Tatisczewie. Co gorliwi zabierają nawet deski, z których zrobione były w wagonach przyczepy. „Czegóż i so zabierasz?” — pytam jednego z nich. „Cyt, nic nie mów! Przecież to się nam przyda na przyczep do spania, na stoły, na ławki!” Pomyślałem, że kolega ma rację, i zabrałem resztę desek.

Pierwsze spojrzenie po przybyciu skierowaliśmy na miasto i jego otoczenie. Wokół miasta — wysokie góry pokryte śniegiem, który spadł wczoraj i przedwczoraj. Nasi dowódcy i służby bezpieczeństwa ostrzegają, że nie wolno udawać się do miasta. Działal-Abad jest od niedawna kontumowany z powodu panującego w okolicy tyfusu planistego zarówno wśród wojska, jak i wśród ludności cywilnej oraz tubylców.

(Koniec odcinka 16. — cdn.)

Podał do druku i opracował:
Miroslaw Derecki

MATURZYŚCI ROKU WOJNY

(DOKOŃCZENIE)

Zbigniew Miazga

POWTÓRNIĘ sięgam po „rodziną” fotografię maturzystów lubelskiego Gimnazjum i Liceum im. St. Staszica, fotografię wykonaną dokładnie pół wieku temu. W miarę postępującej opowieści dr. Lucjana Ważnego tych kilkudziesięciu chłopców traci swoją anonimowość. Mają już imiona, nazwiska oraz biografie — często bogate i piętne, w kilku przypadkach — dramatycznie krótkie.

— Już w pierwszych dniach września — wspomina dalej L. Ważny — zginął, w czasie bombardowania Lublina, Henryk Sikiewicz. Rozstrzelani zostali przez Niemców żołnierze AK: Jan Walewski i Kazimierz Wróblewski. W Oświęcimiu zamęczono Władysława Długockiego. Śmiercią walecznych zginął Stanisław Modrański — lotnik RAF, zestrzelony we wrześniu 1944 roku w okolicach Warszawy, gdy dokonywał przelotu dla powstańców. Poległ też żołnierz I Armii WP Zbigniew Białopiotrowicz, z którym w sierpniu i wrześniu 1944 roku byłem w jednym batalionie.

Wymordowani zostali przez Niemców nasi koledzy-Zydzki: Efraim Szpak, Henryk Zorkaut, Leszek Tolkmint, Jakub Tuler. Inny był los Jerzego Czaczkesa. We wrześniu trzydziestego dziewiątego, wraz z matką, znaną w Lublinie dentystką, przedostał się do Związku Radzieckiego. Jurek powrócił do Polski z Pierwszą Armią, był w stopniu kapitana. Zginął w czasie walk w Niemczech 24 kwietnia 1945 roku, na kilkanaście dni przed zakończeniem wojny.

Kilku kolegów przepadło bez wieści. A wśród nich mój bliski przyjaciel Zygmunt Waśniewski, zabrany w 1944 roku przez NKWD. Więcej szczęścia od niego miał pracujący na stacji kolejowej Lublin, Staszek Nowak. Pewnego dnia od swojej przelozonej, Rosjanki, usłyszał wypowiedziane szeptem: „Przyszli po ciebie, uciekaj oknem, ja ich chwilę zatrzymam”. Po wielu perypetiach dotarł do strefy amerykańskiej w Niemczech, a później do Francji. Tam

skończył chemię, o ile dobrze pamiętam — na uniwersytecie w Lille. Mieszka obecnie w Anglii. Do tego samego kraju trafił, również wymknąwszy się w ostatniej chwili z rąk NKWD-istów, Stefan Grass.

JEDYNYM „staszicakiem”, który po zdaniu matury nie trafił do Junackich Hufców Pracy budujących fortyfikacje na granicach z Niemcami, był Tadeusz Turek. Jego pasją było lotnictwo (po zdaniu matury złożył podanie o przyjęcie do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie, naukę miał rozpocząć 2 października 1939). Jako że dosiadał już szybowców a nawet samolotów, zamiast do hufca, skierowany został na bojowe szkolenie do Świdnika, a później do Lwowa. W pierwszych dniach września wraz z kolegami z eskadry otrzymał rozkaz udania się do Rumunii, celem przejęcia w porcie Constanca samolotów przylatujących przez aliantów. Zamiast samolotów czekało ich internowanie w obozie Tulcea.

Tadeusz Turek, który nie rozpoczął nawet jeszcze „swojej” wojny, ucieka z obozu i po różnych tarapatach w Jugosławii i Grecji, dopływa polskim statkiem ms „Pulaski” do Marsylii. Pod koniec października jest już w bazie Bron pod Lyonem, z przydziałem... kelnier w kasynie oficerskiej. Choć awansowany wkrótce na szefa sanitariuszy w szpitalu lotnisk, nie okazał wdzięczności aliantom: zgłasza się do pierwszej na Zachodzie jednostki noszącej polskie mundury, słynnej później Brygady Podhalańskiej. W jej to składzie, wiosną 1940 roku, jako działonowy działka ppanc., odpycha do zaatakowanej własnie przez Niemców Norwegii. To, że 1 czerwca Narvik i cała okolica, po ciężkich walkach, są w polskich rękach, jest w dużej mierze zasługą celności działka dowodzonego przez tego „staszicaka”.

Allianci ewakuowali się wkrótce z Norwegii. Tadeusz Turek znajdował się w ostatnim oddziale opuszczającym ten

kraj. Znowu była Francja, a tu: obrona Paryża, później — krwawe walki w odwrocie: „Z mojego batalionu — powie po latach — zostało tylko 29 żołnierzy”. 5 października Tadeusz Turek ląduje w Wielkiej Brytanii. Po tygodniu jest wreszcie tam, gdzie być pragnął i — jak się okaże — być powinien: w lotnictwie. Po zdobyciu patentu pilota myśliwskiego walczy najpierw w polskim dywizjonie 308, a później — dokonując zestrzeleń — w 609 dywizjonie RAF. W czasie kolejnego lotu nad Francję (1943 rok), w momencie, gdy znajdował się nad Kanalem La Manche, jego samolot został zestrzelony. Pilot dopiero po dwóch dniach podmieszony zostaje z wody. Ale to jeszcze nie koniec wojennych wypadków. One to czynią go niezdołnym do bojowego latania. Dla swej fachowości pozostaje jednak w RAF, zdemobilizowany zostaje — w stopniu kapitana — dopiero w 1949 r.

Być może starsi z czytelników „Relacji” pamiętają stacjonujący w Kraśniku 24 pułk ulanów. Każdy szwadron miał konie innej maści, a wszystkie — ponoć — były przepiękne. Defilowali na nich krasnocy ulani często i chętnie, pod rozwiniętym sztandarem (z jednej strony Biały Orzeł, z drugiej napis „Honor i Ojczyzna”), wręczonym im przez marszałka Piłsudskiego. W 1937 roku pułk został zmotoryzowany. Pod „ulanekim” jednak sztandarem walczył pułk w 1939 roku, przeszedł kampanię francuską, by znaleźć się w Wielkiej Brytanii. I tam, w Lauder (Szkocja), zameldował swoje przybycie do pułku „nadworny poeta” maturzystów z liceum im. St. Staszica — Wojciech Księżycycki. Napisze później:

Kiedym na wojnę szedł chłopakiem,
Zabrałem z sobą plecak mały,
różnymi rzeczmi spakowany,
pełen nadziei, pełen wiary...

Gdy meldował się u dowódcy 24 pułku ulanów pancernych — a była to jesień 1942 — w tymże plecaku przyno-

sił wspomnienia lat spędzonych, nie ze swej woli, na Litwie i w Związku Radzieckim... W sierpniu 1944 roku krasnocy pułk, wchodzący w skład I Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, ląduje w Normandii. Historia tego jednego z najbardziej krwawych frontów II wojny, jak i brawura „maczkowców” doczekały się licznych przekazów. Opowiedzmy więc już tylko dalsze dzieje lubelskiego maturzysty. 20 sierpnia Wojciech Księżycycki wymieniony zostaje w rozkazie — za dzielność na polu walki. Tego dnia, pod ostrzałem niemieckiej piechoty, z pionącego czołgu wydosłał ciężko rannych kolegów. Wkrótce i on miał podzielić ich los. We Flandrii, w miejscowości Thielt, dostał się w ogień pancernych. Na szpitalnym łóżku otrzymał awans do stopnia podporucznika i udekorowany został Krzyżem Walecznych. Jeszcze przed zakończeniem wojny zdołał wrócić do pancernych ulanów. Pamiętny 9 maja 1945 roku zastaje go na gruzach Rzeszy — w Wilhelmshafen.

— Od czasu do czasu, zwykle nocą, dzwoni telefon — mówi Lucjan Ważny. — Podnoszę słuchawkę i słyszę: „Cześć, tu Wojtek. Opowiedz, co u ciebie, jak żyją koledzy, jak się macie w Polsce?”. Staram się mówić jak najkrócej, bo wiem, że dzwoni ze swojej Słonecznej Doliny w Kalifornii. Ale on chce wiedzieć wszystko; „choć w ten sposób — słyszę — mogą być wśród was”.

Chłopcy ze „Staszica” walczyli na wszystkich frontach II wojny, nie zabrakło ich także w konspiracji i oddziałach partyzanckich w okupowanym kraju. Jednym z nich był Witold Głuchowski, dziś pracownik naukowy lubelskiej Akademii Rolniczej. Do oddziału specjalnego AK, dowodzonego przez por. Wojciecha Rokickiego ps. „Nerwa” (też „staszicak”), trafił w 1943 roku, biorąc udział w akcjach, które później doczekały się bogatej literatury. Dodajmy więc tylko, że Głuchowski, zanim złożył akowską przysięgę, miał już za sobą: ucieczkę z obozu dla internowanych na Litwie, był radzieckim jeńcem przekazanym następnie Niemcom i niewolniczym robotnikiem na terenie Rzeszy i znow uciekinierem, który w sensacyjnych okolicznościach dotarł do Lublina.

WCHWILI, gdy podajemy te słowa do druku, zjeżdżają do Lublina — z kraju i zagranicy — pozostali przy życiu, także nie wymienieni z nazwiska, bohaterowie powyższych wspomnień. Odwiedzają kochaną starą „budę”, złożą kwiaty na grobach profesorów i kolegów, wezmą udział w mszy, będą wspominać...

LISTY-POLEMIKI

Dokończenie ze str. 10

Jestem byłym żołnierzem AK, jak również frontowym żołnierzem Wojska Polskiego, formowanego na terenie wyzwolonych w 1944 roku. Nawiązuję do artykułu „Relacji” nr 14 i wypowiedzi żołnierza AK ps. „Jurek”. Otóż szanowny obrońca UB atakujący „Jurka” wspomina, że nikt nie szedł chętnie do wojska, zapomnia o tym, że młodzież podlegająca poborowi, w tym bardzo duży procent byłych żołnierzy i członków ruchu oporu AK, szła chętnie, by walczyć nadal z Niemcami. Nie szli natomiast do liniowych oddziałów wojskowych tak wybrzymsieni liczbowo członkowie AL, woleli zawczasu zadekować się w ówczesnym Resorcie Bezpieczeństwa i Milicji, by mogli wyżywać się na żołnierzach AK i oddawać ich w ręce NKWD. Przypuszczam, że do tych bohaterów zaliczał się szanowny obrońca UB. Odbijając prawie trzyletnią służbę wojskową, w tym również w ówczesnym 4 baonie ochrony Sztabu Głównego, nie spotkałem żadnego członka AL, natomiast prawie 30 procent stanu osobowego to byli członkowie AK.

Wspomniany w artykule Misztal Władysław był żołnierzem AK i również z powołania poszedł do wojska. W oddziale „Rysia”, a nie „Zapory”, znalazł się z tego powodu, że będąc na przepustce, nie dał się rozbroić funkcjonariuszowi UB. Po powrocie z przepustki do jednostki po kilku dniach został ostrzeżony, że będzie aresztowany jak wielu innych nie podlegających poborowi; flu tych ludzi nie powróciło ze Wschodu?

Co do zasadzki między Chodłem a Bełżycami, to szanowny obrońca UB ma krótką pamięć: to nie oddział „Zapory”, lecz „Rysia” wpadł w zasadzkę zorganizowaną przez UB, a że ci bohaterowie ponieśli porażkę, nic dziwnego; oni umieli walczyć z bezbronnymi więźniami na Zamku, Pod Zegarem i w spelunie przy ul. Krótkiej. Umieli walczyć rozpalonymi prętami, pejszami, prądnicami, jak również umieli wieszać za ręce i nogi na drągu, kneblować usta i wlewać do nosa wodę.

Być może szanowny obrońca tego nie robił, być może tylko w swoim gabinecie przyjmował w białych rękawiczkach odpowiednio spreparowanego więźnia.

Nawiązując do mordu pod Borowem, to Sz. P. powinien wiedzieć z racji swojej funkcji, że oddział „Zęba” nie był oddziałem AK, tylko NSZ, z którymi AK też często miała kłopoty; ja myślę, że nie rąbali siekierami, tylko wozili z sobą gilotynę z czasów rewolucji francuskiej.

Może też obrońca UB przypomniał sobie, co robił bohaterski „Cieś”, kiedy mordował w końcowej fazie okupacji zapłutych karłów reakcji, a było to jeszcze przed wypadkami pod Borowem. Jedno i drugie było wielkim świąństwem.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

Nigdy w swoim życiu nie bałem się. A teraz uczyniam bać się. Czego się boję? Otóż tego, że przy ujawnianiu „białych plam” możemy zostawić „brudne plamy”. Tak się składa, że ja należę do pokolenia tzw. „czewo-

nych krawatów”. Do Związku Walki Młodych wstąpiłem na wiosnę 1944 r. Czy byłem komunistą? Nie! O komunizmie wiedziałem tyle co Ząbłoba o lotach na księżyc. Stalinizm to było pojęcie nieznane. Dla mnie to nie było ważne. Ważne było to, że ja żyję! Powtarzane słowa „komunizm” czy „socjalizm” znałem, ale treści nie znałem. Znałem za to bardzo dobrze fałszyzm.

Dlaczego o tym piszę? Piszę, bo nie mogę znieść, jak dziś z pospolitych bandytów robi się bohaterów. Ludzi, którzy walczyli z komunizmem. Z jakim komunizmem walczyli tacy „bohaterowie” jak ten były żołnierz AK ps. „Jurek”?

Mój dziadek chodził 2 zimy do szkoły wiejskiej (okres zaborów), nie miał pojęcia, co to jest kapitalizm, komunizm czy socjalizm, ale znał pojęcie biedy, głodu na przednówku, znał pojęcie głodu ziemi. Kiedy w jesieni 1944 roku otrzymał 2,5 ha z reformy rolnej, płakał ze szczęścia. Ale radość nie trwała długo. Pewnej nocy „Jurkowie” skatowali go za to, że wziął „pańską” ziemię. Niedługo cieszył się mój dziadek swoim szczęściem. Być może, że w tej „bohaterskiej akcji” brał udział tak skrzywdzony dzisiaj pan „Jurek”. Boję się, aby przy tej wielkiej wodzie demokratyzacji nie wypływało tajno.

Mój ojciec był żołnierzem września, później ZWZ i AK. Po lipcu 44 roku zgłosił się do LWP. Później siedział. Siedział w więzieniu od 1948 do 54 roku. Czy czuł się skrzywdzony? Nie wiem! Mnie zawsze powtarzał, że ustroje, rządy zmieniają się, ale Ojczyzna jest jak matka, zawsze zostaje.

Dziś modne jest pokazywanie sadyzmu oficerów UB czy Informacji WP. To słuszne! Tylko czy sadyści byli po jednej stronie? A co mają po-

wiedzieć mieszkańcy podlubelskiej wsi, gdzie wymordowano ponad 150 osób. Może temu „Jurkowi” postawić pomnik?

Miałem kolegę, taki sam żołnierz jak ja, pojechał na urlop do domu, banda „Igi” zamordowała go! Znam takiego pana, który zamordował kilku ludzi za to, że wzięli ziemię z reformy, później został skazany na karę śmierci, karę zmieniono na dożywocie, później na 25 lat, a później wyszedł na wolność. Teraz stara się o rentę kombatancką. „Brudna plama”!

Znam ludzi, którzy byli w bandzie (nie oddziale) „Żelaznego”, później „Jastrzębia” (może kolejność odwrotna, pamięć nie ta). Ludzie ci mordowali dla zysku, gwałcili młode dziewczyny. Ale dziś to oni walczyli ze stalinizmem: z kim walczyli? Z takimi jak ja, z ludźmi, którzy chcieli żyć w spokoju?

Po co ja to piszę? Bo gorzko mi! Kiedy strzelał do mnie, musiałem strzelać i ja. Tylko między mną a „Jurkiem” jest taka różnica, że strelania miałem dość. Ja chciałem spokoju. „Jurkowie”, co by się mówiło, czekali na III wojnę. I to jest była różnica. Ktoś napisał, że „Jest w Ojczyźnie rachunek krzywd”. Jest krzywda mojego ojca, ale jest i dziadka. Nie wolno nam dopuścić do „brudnych plam”. Jeżeli „Zapora” był bohaterem w czasie okupacji, to dla mnie później jest tylko sadystą, takim jak p. Świątko. Teraz wiem, kto zakatował mojego dziadka. Ci ludzie jeszcze żyją. Nie wiem, co bardziej bolota, gorąca płyta czy łamanie zębów? Boję się dnia dzisiejszego, boję się powodzi, bo przy większej wodzie łajno nie tonie. „Jurkowie” wylażą

Wacław Jaszczuk
Lublin

KALEJDOSKOP KANDYDATÓW

Dokończenie ze str. 2—3

się: Czesław Dąbrowski (l. 57) i Bonawentura Ziemia (l. 54).

Duże zróżnicowanie światopoglądowe i ideologiczne prezentują kandydaci bezpartyjni.

Najmłodszy z nich Dariusz Wójcik (l. 28) i Piotr Gaślowski (l. 28 z ZSP) stawiają na radykalizm. „Nie chcesz bolszewika — głosuj na Wójcika”. „Dość już niekończących się reform. Potrzebna odnowa moralna narodu” (Gaślowski).

Fabryka Samochodów w Lublinie podzieli zapewne swe głosy między Tadeusza Mańkę (l. 44) z „Solidarności” i Zbigniewa Zurawskiego (l. 49), wicedyrektora Zakładu.

Profesorowie Ryszard Bender (l. 57), KUL, i Józef Szymański (l. 52), UMCS, oddaleni od siebie w wielu sprawach, jednym głosem wołają o czystość powietrza.

Dynamiczny program Henryka Pajaka (l. 55): wieś, ksiązka, polityka; zdroworozsądkowy program Zofii Opalińskiej (l. ?): inflacja, kobiety, młodzież oraz oparty na etyce chrześcijańskiej program Adama Wierzbickiego (l. 51), który nie chce być maszynką do głosowania, oscylując wokół humanistycznych wartości człowieka.

Wyborcy z Kraśnika, Puław, Lubartowa i okolic będą głosować na 23 kandydatów.

Kraśnik. Mandat PZPR.

Irena Gil (l. 58), rekomendacja KW: „Przywrócić uśmiech polskiej kobiecie”. Zdzisław Szymczyk (l. 48): „Czteroklasowe szkoły na wsi”. Stanisław Dworak (l. 64): „Rekompensata dla poszkodowanych przez III Rzeszę”.

Mandat bezpartyjny.

Zygmunt Łupina (l. 60, „Solidarność”): „Nie boję się wolności głosu poglądów, choćby fałszywych”. Aleksander Widz (l. 39): „Nie popadammy ze skrajności w skrajność, jestem za równowagą”. Janusz Aleksandrowicz (l. 53): „Nie jestem politykiem. Mówię ludziom, że interesuje mnie tylko uchylenie przepisów hamujących rozwój gospodarki”. Jadwiga Trynkiewicz (l. 46): „Mój program programem wyborców”.

W okręgu puławskim aż siedem osób kandyduje do mandatu PZPR.

Poprawa zaopatrzenia rynku w artykuły żywnościowe i przemysłowe, postęp w rozwiązywaniu kwestii mieszkaniowej, skuteczne ograniczenie inflacji, nadanie większej wagi sprawom szkolnictwa i kultury, zdrowia społeczeństwa i środowiska naturalnego wyraziste podporządkowanie polityki kształtowania dochodów pieniężnych ludności wymogom socjalistycznej sprawiedliwości społecznej. Szanse i sposoby realizacji tego programu widzą indywidualnie: Walerian Jabłoński (l. 49, rekomendacja KW), Józef Kijowski (l. 62), Czesław Kosiński (l. 59), Zbigniew Lipski (l. 53), Edmund Luciniński (l. 58), Stanisław Nowicki (l. 55), Bolesław Wojtoń (l. 52, rekomendacja KW). Osobiste preferencje kandydatów wynikają ze zróżnicowania zawodowo-społecznego.

Tylko trzy osoby ubiegają się o mandat bezpartyjny.

„Jestem niezależna. Wykrzyczę swoje racje” — zwierzała się w wywiadach prasowych Czesława Górską (l. 52).

Ignacy Czeżyk (l. 45), rekomendowany przez Niezależny Związek „Solidarność”, przyjął za dewizę życiową słowa: „Musimy siał, choć gruntu nasze marne”.

Ewa Wojewódzka (l. 43) szansę na niezależność jednostki widzi w pełnym porozumieniu całego społeczeństwa.

W Lubartowie (jedyne okręgi w Regionie bez mandatu PZPR) wyborcy głosują na listę ZSL i kandydatów bezpartyjnych.

Trójka rolników: Marian Starownik (l. 35), Kazimierz Sysiak (l. 27) i Elżbieta Wójtowicz (l. 39) w pełni akceptują i opowiadają się — jak głoszą ich charakterystyki partyjne — za deklaracją wyborczą ZSL. Żądają m.in.

jak najszybszego rozwiązania problemu gruntów z Państwowego Funduszu Ziemi.

Dowodem na zdominowanie okręgu lubartowskiego przez rolników są również kandydatury do mandatu bezpartyjnego.

Adam Grzesiuk (l. 33): „Rolnik nie może być obywatelem drugiej kategorii”.

Janusz Rożek (l. 67, „Solidarność”): „Kluczem do całej gospodarki jest wieś”.

Tomasz Gregorowicz (l. 41): „Nie może być polskiej wsi bez mechanizacji rolnictwa”.

★ Z Lubelszczyzny do Sejmu i Senatu kandyduje 52 przedstawicieli inteligencji i 7 rolników.

★ 13 proc. spośród nich stanowią kobiety.

★ O mandat ZSL nr 55 w Lublinie nie ubiega się żaden rolnik.

★ Dwie osoby kandydujące do Sejmu wycofały swoje kandydatury: Zdzisław Piech (mandat nr 56 Kraśnik), rekomendowany przez KW PZPR, i Eugeniusz Szyplowski (mandat nr 55 Lublin), dyrektor MPK.

★ Wojewódzka Komisja Wyborcza nie zarejestrowała Stanisława Kępskiego jako kandydata na senatora ze względu na brak wymaganej liczby 3 tys. podpisów.

★

ZAMOJSKIE

Anna Błażejczak-Terlesińska (l. 47) jest jedyną kobietą spośród dziewięciu kandydatów na senatorów województwa zamojskiego. Jako lekarz optuje za reaktywowaniem izb lekarskich, jako obywatel chce, by przyszedł Senat zajął się poważnie ochroną środowiska naturalnego, jeżeli jeszcze takie pozostało w Polsce.

Ulotki wyborcze kandydatów PZPR głoszą: Jerzy Markiewicz (l. 61) — „Narody, które tracą pamięć, giną”; Mieczysław Skiba (l. 62) — „Nieść pomoc w nieszczęściu, pracować dla dobra bliźnich oraz walczyć o pokój i szczęście ludzi”.

„Solidarność” reprezentują: Wiesław Lipko (l. 61) — „Moje miejsce jest na wsi”; i Janusz Woźnica (l. 40) — „Nacjonalizm znajet luczszje” — mówiło się za cara, a myśli dzisiaj. Upodmiotowić społeczeństwo to znaczy pokazać, że to nieprawda. Ze wszystko lepiej widać na dole”.

Członkowie ZSL kochają poezję. Ona też wspiera ich programy wyborcze: Franciszek Dyjak (l. 69): „Minał wiek gnuśności, po wsiach świt rumiany, rozstawione wokół wici, wołać na odmianę”. Adolf Sierpiński (l. 61): „Mam jeszcze tyle sił, że wziąłem topór w dłonie i idę, tonąc po kolana w piachu, by zwałać i rozbijać w gruz posagi strachu”.

Jedynym przedstawicielem PAX, Marian Szubtarski (l. 64), głosi konieczność prawdziwego równouprawnienia katolików w życiu publicznym.

Marek Święt (l. 41), zawołany gospodarz — jest za działalnością eksportową, nawet małych jednostek gospodarczych.

W wyborach do Sejmu kandydatury PZPR „rozstrzelili się” dziwnie. Do mandatu nr 414 pretenduje siedmiu kandydatów, a do 415 — trzech.

Rolnik-dziennikarz, Ryszard Bartosz (l. 36), otwierający listę zgłoszonych do mandatu pierwszego, nie reklamuje się żadnym plakatem. Swoje trzy tysiące podpisów „wychodził” po gospodarstwach wiejskich.

Jan Hawrylak (l. 49) z racji pełnionej funkcji (prezes WZGS) oraz Adolf Malyszka (l. 60), dyrektor Cukrowni „Werbkowie”, w przetwórstwie rolnospożywczym widzą atut Zamojszczyzny.

Nie w pełni przekonany do limitowania rekomendacji Komitetu Wojewódzkiego PZPR Stanisław Olko (l. 56)

wierzy również w skuteczność indywidualnej propagandy.

„Rolnik to też człowiek” — powiedział Henryk Pasternak (l. 56).

Wyborcy z gminy Izbica mówią o Hannie Pilat (l. 39): „Ona jest jedną z nas, wie, czego potrzebujemy. Ona udowodni, że chłopi sami potrafią w Sejmie walczyć o swoje prawa. My jej wierzymy”. (Z ulotki wyborczej).

Marek Tęcza (l. 32) jest przeciwnym, miernym, ale wiernym, a za: fachowością, kwalifikacjami, inicjatywą.

W szczuplejszym mandacie drugim rywalizują z I sekretarzem KW PZPR w Zamościu Marianem Wysockim (l. 51), doktorem nauk ekonomicznych, Zbigniew Kawalko (l. 49), ekonomista, dyrektor POM w Lubyczy Królewskiej (obaj kandydaci uzyskali rekomendację KW) i Ryszard Piekarski (l. 45) — budowlaniec, nauczyciel w Zespole Szkół Budowlanych w Zamościu (zgłosił go ZO ZNP).

Mandat ZSL „obsadziło” czterech potencjalnych posłów: będący za doinwestowaniem „ściany wschodniej” Jan Kowalik (l. 41); będący za zmianą Konstytucji PRL, Stanisław Majewski (l. 50); będący za produkcją zdrowej żywności, Jerzy Polak (l. 27) oraz będący przeciw bezdusznosci Tadeusz Maciocha (l. 30), który nie uzyskał czynnego wsparcia WK ZSL.

Ośmioro bezpartyjnych ubiega się o dwa mandaty.

Posel na Sejm IX kadencji Stanisław Barchacki (l. 28) ponownie „próbuję szczęścia” z mandatu 417. Współzawodniczą z nim: zwolenniczka pełnej emancypacji kobiet, Helena Hass (l. 53) oraz Henryk Wujec (l. 48), koordynator wszystkich sekcji przy „okrągłym stole” po stronie „Solidarności”.

Kandydujący z mandatu 418 Jerzy Jarek-Kudła (l. 32) powiedział, że wierzy w swoje umiejętności przekonywania ludzi: „Dobra propaganda to połowa sukcesu w polityce”.

„Solidarność” reprezentuje Stanisław Majdański (l. 40), opowiadający się za cenami wolnorynkowymi, konkurencją w skupie i siecią przechowalni wiejskich.

Zgłoszony przez ZW ZSMP Krzysztof Maksymiuk (l. 34) będzie głosował przeciw monopolowi na władzę.

Jego konkurent, Janusz Różański (l. 26), twierdzi, że: „Nie ma demokracji bez chleba”.

„Serce, a nie rozpychanie się łokciami” — powinno, według Henryka Szymańskiego (l. 64), kierować ludzkim postępowaniem.

★ Proporcja między inteligencją a rolnikami (przedstawicieli klasy robotniczej zwyczajowo brak) kształtuje się w województwie jak 22 do 9.

★ Na 31 osób kandydujących stanęły do rywalizacji tylko trzy kobiety.

★ Swoją kandydaturę wycofał Wiktor Zin.

★ Podobnie jak w innych województwach elektorat zamojski (350 tys.) miał szeroki dostęp do propagandy obu „bloków” politycznych. Kandydaci indywidualni sami organizowali swoje akcje plakatowe.

★

Zamykając nasz kalejdoskop, trudno nam się oprzeć refleksji, że wiele spośród zgłoszonych programów wyborczych ma charakter zbyt ogólny i sloganowy. Zastanawia także fakt, że w państwie uznanym do niedawna za kraj „dyktatury proletariatu” zabrakło wśród kandydatów na posłów i senatorów przedstawicieli klasy robotniczej. Relacja zaś między inteligencją a rolnikami pozwala przypuszczać, że parlamentarna reprezentacja naszego Regionu składać się będzie wyłącznie z inteligencji.

4 czerwca wybierzemy Sejm i Senat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Z ostatniej chwili:

Artur Krzysiak z Radzyna Podlaskiego zrezygnował z kandydowania na senatora, prosząc swych ewentualnych wyborców o przekazanie swoich głosów na kandydatów Komitetu Obywatelskiego „Solidarności”.

Opracowali:

Zbigniew Dzieciołek
Wiesław Horabik
Violetta Krasnowska

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:

3.06 godz. 18, 4.06 godz. 12, 18; 5.06—7.06 godz. 11, 18: „Gałązka rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Kordziński.

Teatr Lalki i Aktora:

1.06 godz. 10, 12: „Ural Batyr” baśń baszkiska; reż. Włodzimierz Felenczak. 2.06 godz. 10: „Dziewczynka z ryżowych pól” Anny Swirszczynskiej; reż. Tomasz Jaworski; godz. 17: „Don Zan”, anonim czeski; reż. Tomasz Jaworski, 3.06 godz. 10, 17; 6.06—7.06 godz. 10, 12: „Pan Twardowski” Tadeusza Wierzbickiego; reż. Tadeusz Wierzbicki.

Teatr Muzyczny:

3.06 godz. 18 (Dom Kultury LSM ul. Wallenroda 4a): „Kotka przemieniona w kobietę”, „Salon pana Wzdęckiego” Offenbacha; reż. Lech Emfazy Stefański.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu Ryszarda Krzywki.

Muzeum Lubelskie — ogólnopolska wystawa METAFORA'89 — „ziemia”. BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa z kolekcji Francesco Conza z Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie; — wystawa fotografii Adama Bujaka pt. „Portrety Jana Pawła II” (sala Czarna).

Galeria Labirynt 2 (ul. Grodzka 3) — wystawa Dominga Cisnerosa z Kanady. Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa prac Tomasza Psuja pt. „Obrazy”.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34): 2.06 godz. 17 — otwarcie wystawy malarstwa Krystyny Witkowskiej-Trochimiak.

WDK (ul. Podgrodzie 3) — wystawa pt. „Medale Lubelszczyzny” ze zbiorów klubów kolekcjonerskich oraz Polskiego Towarzystwa Archeologiczno-Numizmatycznego.

Galeria Biała (LDK ul. Pstrowskiego 12) — wystawa prac dziecięcych pt. „Moje marzenia”.

MDK (ul. Grodzka 11, ul. Skierki 12) — wystawa twórczości dzieci.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Andrzeja Strumilly.

W CHELMIE

Galeria '72 — wystawa węgierskiego artysty Istvana Haasza.

Muzeum Okręgowe — wystawa archeologiczna pt. „Odkrycia archeologiczne sezonu 1988 w Polsce środkowo-wschodniej”.

W ZAMOŚCIU

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa litografii Józefa Budki z Katowic.

BWA — 1.06 godz. 17: otwarcie malarstwa Sławomira Kazimierza Zwierzga. 2.06 godz. 12.30 (KMPIK) — II dziecięcy wernisaz prac plastycznych i fotografii; 3.06 godz. 9—14 (pracownia WDK) — dni otwartych pracowni; godz. 10 (Rynek Wielki) — akcja plastyczna dla dzieci: imprezy w ramach jubileuszu 40-lecia działalności Młodzieżowego Domu Kultury w Zamościu.

OGŁOSZENIE

Uczennice 16—18 lat do zakładu fryzjerskiego przyjmę.
3 Maja 22.

12738/G

SPROSTOWANIE

W „Relacjach” nr 19, s. 16 (rubryka: „Kto jest kim w regionie”) w trzecim diogramie wkładki się błąd z winy dziennikarza zbierającego materiał. Podajemy prawidłową informację: p. Stanisław Moronlak pracował w Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń. Przepraszamy.

(Red.)

TV

CZWARTEK 1 CZERWCA

Program I

8.55 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafiś
8.50 Dzień Dziecka (1): Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dempsey i Makepeace na tropie”: „Drapieżny ptak” — serial krym. prod. ang.
10.10 Domator: To się może przydać
10.40 Powtórzenie na życzenie: Malujemy mieszkanie
10.50 Dzień Dziecka (2): Domowe przedszkole
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Polskie źródło: Rabka
16.25 Dzień Dziecka (1)
17.15 Teleexpress
17.30 Kto w twoim imieniu? — Studio wyborcze
18.00 Dzień Dziecka (2)
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie”: „Drapieżny ptak” — serial krym. prod. ang.
20.50 Kto w twoim imieniu? — Studio wyborcze
21.05 Czas — magazyn publicystyczny
21.35 Pegaz
22.25 Dt — echa dnia
22.45 Język francuski (30)

Program II

16.55 Język francuski (30)
17.25 Program dnia
17.30 Świat festynów
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Magazyn „102”
19.30 Puls — program medyczny
20.00 Rodzice i dzieci
20.30 Program rozrywkowy
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino Studyjne „Dwójki”: „Gorączka” — film fab. TVP. Reż. Agnieszka Holland. Wyk.: Barbara Grabowska, Adam Ferency, Bogusław Linda, Olgierd Łukaszewicz
23.40 Studio Łódzkich Spotkań Baletowych
23.55 Komentarz dnia

PIĄTEK

2 CZERWCA

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnia domowa
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Dziewczyna w czerwonej bluzce” — film fab. prod. chiń.
16.20 Program dnia. Dt — wiadomości
16.25 Dla młodych widzów: Ramię — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Kto w twoim imieniu? — Studio wyborcze
18.00 Szkoła mistrzów: Jerzy Wójcik
18.15 „Tryptyk z ziemi obiecanej” — „Rzecz o fabrykach wspaniałych” — film dok. Macieja Łukowskiego
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Sąsiedzi

19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Friedrich Dürrenmatt — „Sędzia i jego kat”
21.55 Kto w twoim imieniu? — Studio wyborcze
22.10 Spór o jutro: Otwarte studio
23.10 Dt — echa dnia

Program II

16.55 Język angielski (60)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Magazyn „102”
19.30 Dookoła świata: Z Gdyni do Gdyni
20.00 Dolnośląskie różnorożności — program publicystyczny
20.05 Antyczny świat prof. Krawczuka: Ajschylos
21.30 Panorama dnia
21.45 „Ostatnia granica” (1) — film fab. prod. australijsko-amerykańskiej. Reż. Simon Wincer. Wyk.: Linda Evans, Jason Robards, Jack Thompson, Judy Morris i inni
23.25 Studio Festiwalu Krakowskich — XXVI Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych
23.40 Komentarz dnia

SOBOTA

3 CZERWCA

Program I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Fraggles” (40) — serial prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Azymut — magazyn wojskowy
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.25 Wędrowki dalekie i bliskie: „Mont Saint Michel — nowa inwazja” — film dok. prod. UNESCO
12.55 Telewizyjny Teatr Prozy: Erskine Caldwell — „Ziemia tragiczna”. Reż. Janusz Zaorski. Wyk.: Roman Wilhelm, Barbara Wrzesińska, Władysław Kowalski, Elżbieta Kępińska, Joanna Szczepkowska, Iwona Biernacka, Bogusław Linda, Iwona Kownas i inni
14.40 II Młodzieżowy Festiwal Picsenki Sopot '89: Koncert galowy
15.40 Losowanie Dużego Lotka

15.50 Studio Sport: Eliminacje do Mistrzostw Świata w piłce nożnej „Italia '90” (Anglia — Polska)

16.45 Teleexpress (w przerwie meczu)
17.50 Kto w twoim imieniu? — Studio wyborcze
18.20 Premie i premiery — piosenki kandydujące do festiwalu opolskiego
19.00 Dobranoc: Podróże kapitana Klipera
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Ty, koczodanie
19.30 Dt
20.05 „Tootsie” — komedia prod. USA
22.00 Kto w twoim imieniu? — Studio wyborcze
22.15 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielnicki
22.25 Telewizyjny przegląd sportowy
22.45 Program rozrywkowy
0.15 Dt — wiadomości
0.20 Jutro w programie

Program II

14.40 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych

15.05 Powitanie
15.10 Małe kino: „Przez Hoggar” — film dok. Ryszarda Czajkowskiego
15.30 „5 — 10 — 15” — program dla dzieci i młodzieży
16.55 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” — odc. 5 pt. „Filolog i gwoździe” — serial fab. TVP

18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Szansa — teleturniej
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 Studio Sport: Czwartfinal Mistrzostw Świata na żużlu
20.45 „Capella Gedanensis” — zespół muzyki dawnej
21.30 Panorama dnia
22.00 „Chateaufallon” (4) — serial fab. prod. francusko-luksemburskiej
22.55 Studio Festiwalu Filmów Krótkometrażowych — Kraków '89
23.15 — 23.20 Komentarz dnia

NIEDZIELA

4 CZERWCA

Program I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz „Kto, ja, panie psorze?” (4) — serial prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Kraj za miastem
11.10 Telewizyjny koncert życzeń
12.05 Morze — magazyn publicystyczny
12.25 Marek Sierocki zaprasza
13.00 Teatr Młodego Widza: Kornel Makuszyński — „Bezgrzeszne lata”
14.05 Powiększenie — fotomagazyn
14.35 Pieprz i wanilia: Nieznany kraj — „Floryda, świat baśni”
15.35 „Katarzyna” (10) — serial kostiumowy prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.15 Antena
18.30 „Panna dziedziczka” (3) — serial fab. prod. brazylijski
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Ucieczka z miejsc ukochanych” (3) — serial fab. TVP
21.05 Siedem dni: Świat — publicystyka międzynarodowa
21.30 Sportowa niedziela
22.05 „Sławne kobiety i ich czasy” — odc. 6 (ostatni) pt. „Marilyn Monroe” — serial dok. prod. franc.
23.05 — 23.10 Dt — wiadomości

Program II

9.30 Przegląd tygodnia — dla niesłyszących
10.05 „Ucieczka z miejsc ukochanych” (3) — serial fab. prod. TVP (dla niesłyszących)
11.05 Magazyn lotniczy
11.35 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.05 Powitanie
12.10 Kino rodzinne: „Powrót na Wyspę Skarbową” — odc. 7 pt. „Uciekinierzy” — serial przyg. prod. ang.
13.00 Polska Kronika Filmowa
13.10 100 pytań do...
14.10 „Polacy” — film dok.
14.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Japonia” — odc. 2 pt. „Miecz i chryzantema” — serial dok. prod. ang.
15.35 Festiwal Moniuszkowski w Kudowniu-Zdroju: Kantata Madonna
16.20 Być tutaj — gawęda prof. Wiktorina Zina

16.45 Aktualności kulturalne: Znów premiera
17.00 Szansa — teleturniej
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Goście Daniela Pasenta
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 Studio Sport
21.00 Publicystyka kulturalna
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny” (12) — serial fab. prod. USA
22.35 Komentarz dnia
22.40 — 22.55 Dobranoc tylko dla dorosłych: Żywoty kurtyzan

PONIEDZIAŁEK 5 CZERWCA

Program I

16.20 Program dnia. Dt — wiadomości
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Echo stadionów oraz magazyn żeglarski
18.10 Telewizyjny informator wydawniczy
18.30 Laboratorium: Kurz
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: O kaczku, które nie umiało grać w piłkę nożną
19.10 Gorące Linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Luigi Pirandello — „Żywa maska”
22.00 Program publicystyczny
22.30 Dt — echa dnia
22.50 Język niemiecki (29)

Program II

16.55 Język niemiecki (29)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Dla najmłodszych — Po Dniu Dziecka
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Teletrans
19.30 Życie muzyczne: Jubileusz Akademii Muzycznej w Katowicach
20.00 Program rozrywkowy
20.30 Osądźmy sami
21.15 Zamyślenia — program Halszki Wasilewskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio łódzkich spotkań baletowych
22.00 Biografie: „Hemingway” (2) — „Jedno prawdziwe zdanie” — serial dok. prod. ang.
23.00 Komentarz dnia

WTOREK

6 CZERWCA

Program I

8.35 Domator: Rady na życzenie; Mieszkanie z pomysłem
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (10): „Willa Krahulika” — serial prod. CSRS
10.40 Domator: Rady na życzenie; Prawa Polaka za granicą
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Wspólna Polska, wspólna sprawa
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak, a w nim „Cudowna podróż” (33) — serial animowany prod. austr.
17.15 Teleexpress
17.30 „Następny proszę” (6): „Armia Ambrożego” — serial prod. ang.
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody Bączka i Pączka

19.10 Telewizyjny Klub Konsumenta „Stop”
19.30 Dt
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (10): „Willa Krahulika” — serial prod. CSRS
21.05 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.20 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S”
22.15 Wódka pozwól żyć...
22.45 Dt — echa dnia

Program II

17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości. Uprogu sztuki współczesnej” (13) — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Studio Sport: Międzynarodowe Mistrzostwa Francji w tenisie ziemnym na kortach im. Rolanda Garossa
19.00 „Wojna domowa” (4): „Pierwszy dzień” — serial TVP
19.30 Bliisko nieba: Na skrzydłach
20.00 Non stop kolor: Eric Clapton i przyjaciele
21.00 Na warsztacie historyka
21.30 Panorama dnia
21.45 „Hrabina Cosel” (1) — serial prod. NRD wg powieści Ignacego J. Kraszewskiego. Reż. Hans Joachim Kasprzik. Wyk.: Marzena Trybała, Dietrich Koerner, Alfred Struwe
22.30 Program publicystyczny
23.00 Komentarz dnia

ŚRODA

7 CZERWCA

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Szkoła dla rodziców
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Śmierć pięknych saren” — film prod. CSRS
10.55 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.10 Program dnia. Dt — wiadomości
16.15 Losowanie Express i Super Lotka
16.25 Dla młodych widzów: Scena TDC
16.50 Dla dzieci: Wyprawy prof. Ciekawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Program publicystyczny
17.50 Zielona Góra '89 — festyn dziecięcy
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Proszę słońca
19.10 Program publicystyczny
19.30 Dt
20.05 „Śmierć pięknych saren” — film prod. CSRS
21.35 Raport
22.05 Studio Sport: Cel Sopot — skoki przez przeszkodę
22.35 Rozmyślenia prof. Mariana Stępnia
22.45 Dt — echa dnia

Program II

17.25 Program dnia
17.30 Studio Sport: Międzynarodowe Mistrzostwa Francji w tenisie ziemnym na kortach im. Rolanda Garossa
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów TP II
19.00 Harlem story — program rozrywkowy pod RFN
19.30 Portugalia — program publicystyczny
20.00 Mistrzowie wiolinistyk — Tadeusz Gadzina
20.40 Studio Sport: Międzynarodowe Mistrzostwa Francji w tenisie ziemnym na kortach im. Rolanda Garossa
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” (23) — serial TVP
22.15 Telewizja nocą
23.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.

TRZY tygodnie po odzyskaniu niepodległości — 6 grudnia 1918 roku, w 18. numerze Dziennika Praw Państwa Polskiego opublikowano dekret o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego. Artykuł 44 dekretu głosił:

„Zgłoszenie winno być podpisane łącznie lub na oddzielnych deklaracjach co najmniej przez pięćdziesięciu wyborców, zamieszkałych w okręgu wyborczym”.

Siedemdziesiąt lat później, w wyborach do Sejmu należało zebrać 3000 podpisów: popierających kandydata na kandydata. Gdy decydowałem się na podjęcie tego wyzwania — po prostu zabrakło mi wyobraźni, co w odniesieniu do zawodowego zmyślacza, czyli literata, jest pewną formą kalektwa umysłowego. Bo 3000 podpisów to dystans gigantyczny, arbitralny, upokarzający, prowokujący i wymuszający fikcję, uwłaczający godności kandydata i kandydowania, a zatem i posłowania. Już tysiąc byłby przeszkodą wystarczającą do zniechęcenia przeróżnych maniaków, niedocenionych geniuszy, ekscentryków cierpiących na hormonalną żądę władzy, reprezentacji. Natomiast dwa tysiące to poprzeczka dostatecznie wysoka dla sprawdzenia autentycznej popularności pretendenta w środowisku wyborczym. Pozostały tysiąc to właśnie ta arbitralna rezerwa na upokorzenie, na parodię i fikcję.

Komu zależało na tym trzecim tysiącu?

Ostatecznie przeszedłem z dorobkiem 3400 podpisów i gdy piszę te słowa (12 maja), leży przede mną jeszcze 230 spóźnionych autografów. Gdyby obecna ordynacja zażądała np. 5000 poparcia, zapewne i tę barierę udałoby się pokonać. Ale jakim kosztem?

Nie w liczbie wymaganych poparcia, tylko w ilości mandatów bezpartyjnych kryje się sedno żenującej gonitwy za podpisami. Lublin wraz ze Swidnikiem i ościennymi gminami otrzymał pięć mandatów — w tym jeden bezpartyjny. Jeden na setki tysięcy mieszkańców. Nie stawiam pytania o to, komu zależało na rzuceniu tej kości w olbrzymi tłum wyborców, tych 35 procent w skali całego Sejmu. Otwarty jest natomiast dylemat, czy warto było schylać się po tę kość?

Ponieważ zgłosiło mnie walne zebranie członków Lubelskiego Oddziału ZLP, stowarzyszenie o zasięgu krajowym, mogłem kwestować poza obszarem okręgu. W pierwszym odruchu pognałem do rodzinnego miasteczka w Kieleckiem. I był to pierwszy poważny błąd. Wprawdzie po paru dniach wróciłem z około 600 podpisami, zebranymi własnoręcznie i własnonożnie, ale w tym samym czasie konkurencja przechwytywała poparcia w Lublinie dla siebie. Należało w pierwszej kolejności wydrenować, co się da u siebie, a dopiero potem ruszyć w Polskę. Nawet w bibliotekach, domach kultury i księgarniach rozkładano ręce z żalem prawdziwym czy udanym: „Niestety, już podpisałimy innym!”

Nie miałem swojego „sztabu wyborczego”, plenipotentów, oddanych emisariuszy, nikt nie pikietował placu Łatewskiego w Lublinie z

hasłami w rodzaju: „Henryk Pająk w Sejmie — za 4 lata druga Japonia!” Tylko kilku literatów zaangażowało się osobiście i naprawdę. Dwóch zgromadziło po 200 podpisów, jeden — 70, pozostali — od kilku do kilkunastu. Ciocia żony (82 lata!) udała się w swoje rodzinne strony i po czterech dniach wróciła z 250 poparciami! Trzeba zrozumieć starszą panią, jej utrwalony przed wojną szacunek do misji poselskiej: takiej okazji się nie marnuje!

Bez odzewu pozostało moje SOS wysłane do oddziałów ZLP. Kielce przysłały 30 podpisów. Łódź — 5! Warszawa, skupiająca połowę składu ZLP, zdobyła się na 34 autografy, ale nadeszły o dwie doby za późno. To było wszystko. A liczyłem na setki. To był rewanz za mój artykuł w „Relacjach” pt. „Wchodzimy czy nie”. Miałem nieostrożność powiedzieć tam otwarcie, co myślę o pospieszonym, posłusznym powołaniu nowe-

W obrzękłych piersiastych babach rozpoznawałem dawne dziewczyny, w których przed przeszło trzydziestu laty podkochiwałem się smętnie i beznadziejnie. Otwieralem dowód osobisty jakiegoś starca: mraz w jego starej fotografii poznawałem twarz tamtego chłopca, jak pędzi za mną po wiśniowym sadku, dawno już nie istniejącym, jak nie istniejemy także my obaj, tamci, z wtedy. Jakiś starowina, cholerując soczyście, oznajmił, że on niczego nie podpisze, do żadnych wyborów nie pójdzie, lecz po chwili okazało się, że pochodzi z Hermanowicz, sto kilometrów za Wilnem na wschód, a przecież akcja mojej powieści „Amen” dzieje się w trójkącie: Hermanowicze — Głębokie — Postawy. Wkrótce sam oprowadzał mnie po sąsiadach...

Odmówiłem pewnego podpisu. Od człowieka, który w czasie wojny, gdy ojciec był w niewoli, a matka zmagala

Wieczorem wracałem na ostatnich nogach do domu rodziców.

— Ileś zebrał? — pytała mama. — Dwieście — odpowiedziałem z przechwałką. Milkła. Patrzyła z przyganą, wzdychała: — Po co ci to? Czyś zgłupiał?

To wielki dar losu mieć 52 lata i żyjących jeszcze rodziców. Jedyną istotą, która ma prawo skarcić pana kandydata na posła: „czyś ty zgłupiał?”

Drugim moim bastionem stała się podlubelska gmina i wieś, w której od 16 lat gospodaruję na tych 3,5 ha. Na wsi obowiązuje stereotyp: będzie swój poseł — będzie droga, telefon, może nawet wodociąg! W mojej wsi zebrałem 250 poparcia, w całej gminie — 400. Mój program minimum na 4 czerwca: nie przegrać w swojej gminie. Jest szansa. Ale takich gmin jest jeszcze pięć. I ten Lu-

by nie chwyciło. Wiem na podstawie tego największego w swoim byłym dziennikarskim doświadczeniu sondażu podpisowego, że ludzie chcą rozwiązań umiarkowanych, bez barykad, demokracji pączkującej, rosnącej jak ciasto w dzieży. Kochają te swoje boazerie, kolorowe ogłupiacze, to swoje psoczenie na rząd i komuchę, na głupotę dyrektorów, sprzedajność urzędników, chcą dokończyć budowę kościoła i własnego domu i mieć spokój, spokój, spokój.

Ale program to ja mam, i owszem. Pierwsza rzecz to rozpedzić cenzurę [— — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt. 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204)]. Jeżeli przynoszę do pewnej redakcji udokumentowany artykuł o tym, jak centralne dowództwo partyzantów zbrojnych wydało rozkaz zbrojnego niszczenia partyzantki polskiej na Wileńszczyźnie i Białorusi, a naczelny odpowiada z żalem, że on niestety puścił tego nie może, to ja po prostu chro- mę taką wolność słowa!

Rządząca partia niestety pokazała, jak nie należy rządzić krajem i gospodarką, to też niechże się ścieśni choć do połowy na ławach i fotelach rządowych, sejmowych, politycznych i dyrektorskich.

W programie społecznym rząd i Sejm, nie mając długo jeszcze szans na drugą Japonię, muszą przynajmniej zająć się sprawiedliwym rozdziałem biedy. Pomyśleć o tych, którzy nie tylko nie mają boazerii czy video, ale własnego kąta. A 35 tysięcy renty to po prostu obelga.

Wśród kilkudziesięciu kandydatów na posłów w okręgu Lublin nie ma ani jednego prawdziwego rolnika. Ja sam, jako dwuzawodowiec, autor 10 powieści i właściciel 3,5 ha sadu, za autentycznego rolnika o spękanych dłoniach nie mogę się uważać. Jeżeli w całym kraju opozycja i rząd kapną chłopom, stanowiącym 40 proc. ludności te kilkanaście mandatów, to będzie to czysta kpina. Taką też będziemy mieć politykę rolną przez te 4 lata.

A wieś gwałtownie zatracca swoją tożsamość społeczną, socjologiczną, a zwłaszcza produkcyjną. Wiejska kobieta w okolicach czterdziestki idzie do ginekologa dopiero w ostatnim stadium nowotworu. Mężczyźni i kobiety tuż po trzydziestce — to bezzębni starcy.

Jako chłop z pochodzenia i profesji przypominam „miastowym”, którzy w większości biegali na bosaka po swoich ojcowskich chłopskich podwórkach: zadbajcie o godność wsi, o etos pracy na roli. Zapamiętajcie słowa wielkiego trybuna chłopskiego Wincentego Witosa, już przypominane przeze mnie w „Relacjach” (nr 13) w artykule „Chłop potęgą... był!”:

„Ziemia jest najważniejszym dobrem, jakie posiadają narody. Bez niej nie może być ani własnego państwa, ani też wywyższenia. Nie jest więc rzeczą obojętną, w czym ręku skarb ten się znajduje” (W. Witos: Dzieła wybrane, t. I, s. 20).

JAK KANDYDOWAŁEM NA KANDYDATA DO SEJMU

Henryk Pająk

go ZLP na ciepłym jeszcze trupie poprzedniego...

Do rodzinnego miasteczka udałem się z cennym atutem. W roku ubiegłym w miejscowej gazecie drukowano w odcinkach moją książkę „Stąd do niepodległej”, która dopiero jesienią ukaze się w Wydawnictwie Lubelskim. Mówi o czasach okupacji w tymże moim miasteczku. Zszywka z odcinkami otwierała mi wiele drzwi oraz dowodów osobistych. Trafiłem na uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci poległych partyzantów w kościele z sąsiedniej miejscowości. Zarekomendowany przez partyzantów, zbierałem poparcia wspólnie z przedstawicielami „Solidarności”, którzy kwestowali na rzecz miejscowych kandydatów. Ale spóźniłem się o dwie godziny, bo dziwnym trafem autobus miejski, zwykle kursujący tam co 20 minut, akurat na tę okazję zasłabł na całe dwie godziny. Straciłem kilkaset poparcia.

Przeważnie jednak wycierałem progę w mojej dzielnicy, w czasach mojej młodości zapyziałej, biednej kieleckiej wsi, a teraz nowobogackiej dzielnicy domków jednorodzinnych. Dla dziennikarza rolnego o 20-letnim stażu takie peregrynacje to chleb codzienny, ale tym razem przeżywałem niepowtarzalną przygodę prywatną, pisarską i dziennikarską. Odkręcał się cofał do wczesnego dzieciństwa i młodości fascynujący film pełen wzruszających spotkań, zaskakujących konfrontacji, gorzkich refleksji nad znikomością czasu i ludzkiego losu.

się z biedą i dwojgiem drobiazgu, ukradł nam dorastającego prosiaka. Przez 45 lat ludził się, że nie wiemy, kto ukradł!...

Odmawiano i mnie. Nie pomagała nawet bezpartyjność. Ludzie są wściekli i zniechęceni. Nie chcą iść do wyborów. Jest zamęt w umysłach. Awersja do bloku partyjno-rządowego, ale też zniechęcenie do natarczywości drugiej strony. Kandydaci ze środka — ani stąd, ani stamtąd — są podejrzani dla stron obydwu. Dla jednych dezercerzy, dla drugich zaprzańcy. Trzeba długo przekonywać, że można nie należeć ani tu, ani tam, po prostu być sobą. Marny będzie żywot centrystów wszelkiej maści w tworzących się konstelacjach sił i bloków.

Żądano programu. O co chcę walczyć w Sejmie. W domu wybrukowanym od podłóg do sufitów wspaniałą boazerią z okolicznych lasów, z dywanem i kolorowym telewizorem w gościnnym, dostrzegłem ledwo kilkanaście książek. Przeważnie czasy socrealizmu, lektur szkolnych. Było oczywiste, że mieszkanie jest pustynią duchową i umysłową, w niewoli kolorowego ogłupiacza mas. Byłoby idiotyzmem powoływać się na moje oddanie sprawie książki taniej, wartościowej, a choćby i kryminału. Nieprzydatna stawała się druga moja profesja — zawód rolnika żyjącego z pracy na 3,5-hektarowym gospodarstwie. Ci ludzie już zapomnieli, skąd im nogi wyrosły. Ostro psoczą na chłopów: we łbach się kmiotkom poprzewracało, chcą strajków, nowych cen!

blin, wieś, która nie chce wiedzieć, że jest wsią...

Te wybory przyniosą zapewne rozczarowanie wszystkim kandydatom, a także wyborcom. Ci ostatni, zwłaszcza ta decydująca o wszystkim, milcząca a zobojetniała lub zdezorientowana większość, w znacznym procencie, moim zdaniem, całą tę imprezę wyborczą zbojkotuje, głosy rozproszą się między licznych rywali i chyba dopiero druga tura wyłoni posłów.

Wojaz trwa wojna plakatuwa oraz parada obietnic. Mnie na to nie stać. Ani organizacyjnie, ani finansowo, ani psychologicznie — jakoś nie mogę przelamać się do oblepiania murów i słupów swoim nazwiskiem z natrętnymi hasłami. Gdyby zebrał do kupy buńczuczne programy choć paru moich rywali do mandatu bezpartyjnego, to za 4 lata druga Japonia gwarantowana! To trochę niepoważne, ale takie są reguły tej gry: przelicytować, przekrzyknąć konkurencję, nawet w pisuarze szczyżyć z plakatu zęby do wyborcy w radosnym uniesieniu. Wszyscy, sikający i szczyżący zęby, wiedzą, że jest to gra, wielki show, ale to jest ważne, to jest konieczne, wyborcy trzeba wmówić, że jest ważne, taki kochany, a ten Sejm to coś niebywałego w naszym marszu ku radosnej przyszłości...

Co do mnie, to nie nadaje się na showmana, a poza tym piekielnie trudno przelicytować rywali w pomysłach i radykalizmie obietnic. Musiałbym chyba sięgnąć po coś w stylu: „Hej kto Polak, na Kijów!”, „Precz z komuną!”, „ZOMO do kopalni!” Ale i to

W numerze 21. opublikujemy:

✦ WYZWANIE DLA POLSKI ✦ W WIEDNIU „NA HANDLU” ✦ EKSMISJA W PARCZEWIE ✦ Z. BRZEZIŃSKI NA KUL
✦ ROZMOWA Z B. LINDĄ ✦ ARTYSTYCZNA ROZRÓBA W KAZIMIERZU ✦ M. KUNCEWICZOWA: OBYWATELKA
SWIATA ✦ SOŁŻENICYN — CD. ✦ RADIOSTACJA AK — ŚLADEM „STU Z LUBLINA” ✦ PAMIĘTNIK Z ŁĄGRÓW — CD.
✦ JAK SIĘ TRUJEMY? ✦ JAK MÓWIMY?